№ 9. Warszawa, dnia 15 (27) Lutego 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAN I ROBOT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie zlr. 4. W KRAKOWIE zlr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie Ulica Żabia Nr 956 (nowy 6) dom narożny przy targu.

Treść Numeru: Słówko o praktyczności w życiu kobiety (dokończenie). — Klin Klinem, nowella przez J. I. Kraszewskiego, (ciąg dal.). — List piąty z Chicago, przez Syg. Wiśniowskiego (ciąg dalszy). — Korespondencya zagraniczna. — Pogadanki wieczorne na wsi. — Przegląd literacki. — Odpowiedzi od Redakcyi. — W dodatku: Miss Palfrey, powieść, przez Teodora Bailey Aldrich, przekład J. B. (ciąg dalszy).

SŁÓWKO
o praktyczności w życiu kobiety.

List otwarty Do .....

PRZEZ JANA PRUSINOWSKIEGO.

(Dokończenie).

Oto szerokie pole dla rozwinięcia szlachetnej konkurencyi, zwiększając produkcyę, dając produkt lepszy i zdrowszy, bo sumienniej i umiejętniej prowadzony. Bogatym, wiele się przebacza, zamilknę więc o nich. Ale, czyliż nie boleśnie i nie śmiesznie jest, widzieć wiejską młodą gosposię, lub panienkę, żonę lub córkę szczupłego obszaru dziedzica lub dzierżawcy, przedrzeźniające sentymentalną, zdenerwowaną pieszczoszkę, lub rozprawiające o równo uprawnieniu kobiet, a obce gospodarstwu wiejskiemu, potrzebujące do kawy i herbaty śmietanki kupionej u pachciarza i umiejące zaledwie rozeznać buraka, od pietruszki i fasoli!... Tymczasem, wiadome mi wyjątkowo ku temu celowi skierowane usiłowania, najpomyślniejsze wydały rezultaty. Cząstkowe skupywanie, gatunkowanie — i potem rozprzedaż hurtowa na rynkach miejskich masła, przynosi jednej znanej mi rodzinie, więcej tysiąca rubli rocznego, czystego dochodu.

Żona pewnego posiadacza, jednej ze słabą glebą wioski, z gospodarstwa kobiecego opłaca za męża podatki, nauczycieli, dwornię i cały dom utrzymuje tak, że dochód z wioski idzie na ulepszenie zabudowań i inwentarza pozwalając corocznie po kilkaset rubli i więcej kapitalizować. Na zarzut, że dla rozpoczęcia podobnych przedsiebierstw, potrzebny jest znaczny kapitał obrotowy odpowiem: że w pierwszym wypadku, handel masła ropoczęty został z pięćdziesięciu rublami a w drugim, cały obrót gospodarstwa miał na początku kilka krów i pewną ilość drobiu.

Lecz w jednym i w drugim przykładzie, za pewność których ręczę, była niepożyta siła wywołana poczuciem obowiązku, a tą siłą — jest '— *Praca osobista!*

Przebiegłem tę nomenklaturę zajęć kobiecych nie dla tego, żebym ci tę lub ową za właściwszą, pożyteczniejszą lub bardziej korzystną wskazywał.

Wybieraj jaką za najstosowniejszą, odpowiednią do swoich zdolności i usposobień znajdziesz, a może nawet w pobieżnym tym przeglądzie, opuściłem jaki ważny dział pracy kobiecej.

Nie chodzi tu *o przedmiot pracy — ale o pracę samą* — i oto zbliżam się, po tak długiem kołowaniu, do rozstrzygnienia ci i określenia zagadkowego dla ciebie słowa *Praktyczności.*

Życie dziś trudne i drogie — i coraz się utrudnia i drożeje. Nieodbite potrzeby utrzymywania i warunki ukształcenia, także wzmagają się i drożeją ciągle. Garniec mąki lub kaszy, dziś kosztuje tyle prawie co przed tem korzec tych produktów; a za cenę łokcia płótna, sukna lub innej tkaniny — kupiłabyś dawniej nieledwie całą odzież. Porządny rzemieślnik lub kolonista wiejski, przywykł dziś do wygód, niezawsze może znanych przez dawniejszych kupców i jednowioskowych posiadaczy. Podobnie podniosły się wymagania i koszta ukształcenia.

Nie wchodzę w szczegóły, bo to za wiele zabrałoby czasu, ale z pewnością zaświadczyć można, że środki które niegdyś pozwoliłyby skończyć uniwersytet, teraz pozwoliłyby zaledwie przejść progimnazyum, lub początkową szkółkę handlową, lub rzemieślniczą. Koniecznem więc jest, żeby produkcya dorównała potrzebowaniu, a środki wymaganiom i potrzebom. Należy więc użyć więcej sił do produkcyi, niżeli do tąd użytych było i mnożyć środki życia — żeby braku ich nie doznać. Żeby zaś skutecznie działać w tym kierunku, trzeba w sobie te potrzebne siły wyrobić odpowiednio do stanowiska, jakie zatrzymać albo zdobyć zamierzamy. To tylko pewne, że najrozleglejszy majątek ziemski, najdonośniejszy zakład fabryczny lub milijonowe kapitały nie są już dziś tem, czem były dawniej i bez umiejętnej i starannej administracyi, bez prawidłowego użycia dochodów, łatwo zagrożone być mogą ruiną.

Śmiałe, a raczej szalone przedsiębiorstwa, jak gra na giełdzie i inne—oprócz strony niemoralnej i zasady wręcz przeciwnej przestrogom Ekonomii społecznej, rzadko kiedy doprowadzają do rojonych rezultatów i pozwalają korzystać z niezasłużonych tryumfów. Austrya, a głównie Wiedeń, dały światu głośną w tym względzie naukę sformułowaną w złowieszczym wyrazie: *Krach.* Dobrobyt, żeby był trwałym powinien rozwijać się prawidłowo i mieć nieustającą dźwignię w pracy. Tem bardziej fortuny średnie, lub mniej jak średnie i stanowisko społeczne zdobyte własną tylko pracą, potrzebują tej dźwigni jako naturalnej podstawy. Dochód z majątku, lub praca samego naczelnika rodziny, choćby przynosiły kilka tysięcy rubli, nie wystarczą na zabezpieczenie życia rodziny na przyszłość. Życie musi być urządzone oględnie i ekonomicznie, żeby środki wystarczyły potrzebom, a wychowanie i ukształcenie dzieci, musi być skierowane do celów bardziej produkcyjnych, jak dziś jest w obyczaju, jeżeli chcą zatrzymać swoje stanowisko i nie być narażonymi prędzej lub później, na niedostatek, pozbawiony środków ratunku. Chodzi więc głównie o wprowadzenie w życie, w przekonanie powszechne warstw społecznych, mających się za ukształcone, *zasady umiejętnej i samodzielnej pracy*, a praktyczne jej zastosowanie łatwo już da się urzeczywistnić.

Jak od wieków, w rodzinach włościańskich, mieszczańskich i rzemieślniczych, żona jest przyrodzoną pomocnicą męża a dzieci sposobią się pod przewodnictwem ojca do produkcyjnych zajęć swego stanu, tak musi być w rodzinach bardziej zamożnych i ukształconych. Tym tylko sposobem średnie majątki, nie będą się rozdrabniać na kilkomorgowe zagony, a dzie-

ci posiadaczy ziemskich, doktorów, adwokatów, urzędników i artystów — pielęgnowane i cackane przez rodziców, na bezwiedne i próżniacze przedrzeźnianie panów nie przejdą, nie wyjdą na gończych za posażnemi pannami, rezydentów, pieczeniarzy, wydrwigroszów, żebraków a nawet... kryminalistów jak tego smutne mamy przykłady. Wyższość ukształcenia, donośniejsze środki, rozleglejsze stosunki i powaga zacnej tradycyi—wszystko to użyte przez rodziców warstw średnich społecznych w porę i umiejętnie, zdoła zawsze dostarczyć ich dzieciom dogodniejsze stanowisko na szczeblach zdobywanych przez pracę, niżeli to zdobyć mogą dla swoich, ludzie postawieni w mniej pomyślnych warunkach. A musimy się zgodzić, że jest to jedyny szlachetny środek ratunku i zachowania przy sobie, na drodze legalnej, dotąd dzierżonego pierwszeństwa.

Oprócz moralnej i materyalnej korzyści z podobnego kierunku, dla rodzin średniego stanu zainteresowanych bezpośrednio w utrzymaniu swego stanowiska, użycie na polu pracy tylu sił marniejących w bezczynności, wpłynie zbawiennie na pomyślność narodowego bogactwa. Nie mniej też, zwrot do pracy pożytecznej wszystkich członków rodzin klas średnich nie zostanie bez skutku na moralny stosunek ich z klassami, pracującemi od wieków. Będzie to piękny i zachęcający przykład dla tych ostatnich i powoli zatrze się zawiść, jaka nurtuje skrycie w warstwach roboczych, na widok całych mas ludności cieszących się w próżniactwie przysługującym im, bez ich udziału, dobrobytem. Z drugiej strony zmniejszy się ilość ludzi nietylko niepojmujących pracy, ale pogardzających nią. Jedno hasło życia, jeden kierunek do najgłówniejszych warunków bytu — zbliży harmoniją społeczną wszelkich stanów, będącą ostatecznym celem każdego prawodawstwa.

Ale niedość jest uczyć się czegokolwiek, trzeba koniecznie *douczyć się*. Nie dość jest teoretycznie czy technicznie obeznać się z obranym przedmiotem, *trzeba zejść do zastosowania go w praktyce*. Niedość jest stosować w praktyce zdobytą umiejętność obranego zawodu — tylko dla własnej rozrywki lub popisu — *trzeba żeby to stosowanie było produkcyjne — to jest pożyteczne dla nas* i *drugich*. Dyletantki, które użyły kilka lat pracy na ukształcenie w muzyce, śpiewie, lub malarstwie — i kończą popisywaniem się ze swoim talentem przed obranem kółkiem znajomych, winne są marnotrawstwa za czas stracony—i najnieprodukcyjniej użyte na wykształcenie ich środki pieniężne. Usprawiedliwione być mogą jedynie, jeżeli talent ich przekraczając w muzyce i śpiewie zdolność jedynie egzekucyi, a w malarstwie możność kopijowania, doszedł do siły twórczej i tym sposobem w wyższej sferze piękna przewodniczyć może. Lecz jeżeli bez tych cech genialnych dyletantka lampę swoją *wypala pod korcem*, lepiej żeby jej wcale była nie zapalała. Jeżeli zaś majątkowe środki jej rodziny lub jej samej, są tak donośne, że spieniężanie swoich umiejętności uważa słusznie za niewłaściwą konkurencyą, z osobami bardziej potrzebującemi zarobku, w takim razie obowiązkiem jest zamożnej artystki, kształcić prawidłowo i sumiennie biedne panienki, nie mogące mieć płatnych lekcyi.

Przytem, wyższe uzdolnienie malarskie, wkłada obowiązek, zaopatrywania ubogie wiejskie kościołki w obrazy bardziej odpowiadające wymaganiom estetyki i tą drogą działać, na rozpowszechnienie lepszego smaku i pojęcia sztuki.

To samo stosować się ma do kobiet oddających się naukowym studyom, lub ręcznym pracom, jak kwiaciarstwo, introligatorstwo i t. p. Jak niedość jest posiąść wyższe naukowe ukształcenie, żeby potem czas trawić na bezcelowem czytaniu, tak też szkoda trudu, na naukę robienia kwiatów lub introligatorstwa, żeby skończyć ułożeniem dwa lub trzy razy na rok, jakiegoś bukiecika na wiązanie mamie, cioci, lub przyjaciółce, albo wyklejenie na cel podobny ramki do fotografii, lub oprawę pamiętnikowego sztambucha, dla przystrojenia bawialni.

Oczywiście, że wszystkie te obowiązki, *koniecznego spożytkowania na zewnątrz* zdobytej umiejętności, ograniczają się lub ustają zupełnie, jak skoro kobieta zostaje matką. Wówczas obowiązki bliższe i świętsze, usprawiedliwiają przerwę w jej fachowych pracach, szczególniej, jeżeli stanowisko męża pozwala a stan jej zdrowia niepozwala na to. Wówczas, cięży tylko nad jej losem powinność, przelewać od najrańszych lat w pojęcie dzieci zamiłowanie pracy — i starać się każde z nich, odpowiednio do zdolności i środków, do pewnego zawodu pod błogosławieństwem macierzyńskiem przysposobić. Jeżeli zaś niespodzianie, stan majątkowy jej męża zachwieje się lub dotknie ją cios najsroższy... wdowieństwo — w gotowości ciągłej do pracy, w należytem do niej przysposobieniu, znajdzie zawsze deskę ratunku bez której rozbitek ginie. Najbardziej zaś wspierać ją będzie przekonanie, że zejście do osobistej pracy, nie tylko ją nie upokarza (jak wielu dziś jeszcze myśli) ale owszem, podwyższa i uszlachetnia.

Jeszcze słówko. W tym dążeniu drogą pracy, do samodzielności, do zapewnienia sobie społecznego stanowiska, trzeba unikać pychy i przesadzonego o sobie rozumienia, bo są to owe starożytne skały Scylla i Charybda, grożące rozbiciem, najszczerszym na pozór chęciom.

Nie wszyscy z jednemi rodziemy się zdolnościami do tej lub owej umiejętności, trzeba więc o ile można bezstronnie oceniać własne usposobienie: żeby nie obrać zawodu nad siły — a schodząc do praktyki, nie powinniśmy patrzeć z zawiścią, że innym idzie pomyślniej niż nam. Uważajmy raczej, ilu gorzej niżeli nam się powodzi, a z pewnością naliczymy więcej za sobą, niżeli przed sobą. Słowem, jeżeli obierzesz zawód pedagogiczny i spostrzeżesz że nieodpowiesz obowiązkom nauczycielki wyższych nauk, poprzestań na uczeniu czytania, pisania i rachowania. Jeżeli zawód artystyczny stanie ci się niedostępnym, poprzestań na uczeniu początków muzyki lub śpiewu, a zamiast dzieł sztuki, maluj ściany, drzwi, albo znaki handlowe. Zamiast niedołężną nauczycielką lub lada jaką artystką, bądź raczej dobrą krawczynią, szwaczką i t. p. W ustroju społecznym każdy zawód jest potrzebny i konieczny, każda praca stosunkowo się opłaca. Pamiętaj jednak, na tę *stosunkowość* owoców pracy. Jeżeli ci ona niedostarczy środków w takiej ilości, żebyś mogła urządzić życie na stopę do jakiejś przywykła w rodzinie, znieś cierpliwie ten wyrok bo on jest oparty albo na jakości sił twoich intelligencyjnych, albo na braku przedsiębierczości i energii.

Pracą i usilnością z niższego stanowiska, sięgaj o ile zdołasz do wyższego — ale umiejętnie, prawidłowo — a dojdziesz do celu. W każdym zaś razie nie zrzekając się postępowego kształcenia umiejętności, czy zawodu jaki obierzesz, bądź zawsze zadowoloną z chwili obecnej — stosuj swoje rozchody do dochodów, starając się z tych ostatnich choć mały procent zaoszczędzać, a to będzie — w najczystszem pojęciu *Praktyczność życia*.

Zawiele może się rozszerzyłem w tym liście a jednak nie wypowiedziałem wszystkiego. Sądzę jednak że potrąciłem o główne zasady przedmiotu, który ci się zdawał ciemnym. Resztę rozjaśni ci poczucie własnego obowiązku, życie poświęcone uczciwej pracy i spełnieniu dobrze pojętych obowiązków.

KLIN KLINEM.

NOWELLA

PRZEZ

J. J. KRASZEWSKIEGO.

Similia similibus curantur.

(Ciąg dalszy).

W tem zaturkotało i oknem wyjrzawszy postrzegli młodego Zygmusia, pieszczonem tem imieniem przezwany dla kontrastu, gdyż chłop był jak dąb — posiadacz małej wioszczyny, którą dojadał wesoło... Ten wpadł jak burza, głową się o niski uszak stuknąwszy i zawołał...

— Piękna Seweryna męża porzuciła, już jej nie ma! wiecie. — Dziś rano spotkał ją Zembrzuski na gościńcu pędzącą do Żytomierza... Ciekawa rzecz co zrobi marszałkowicz i co powie purytanka pani marszałkowa, która na nas jak na zbójców patrzała, choć żaden z nas żony drugiemu nie odkradł..

— Tak! tak, przerwał wikary — wolelibyście bałamucić je i mężom zostawiać! O wy! świętoszki! patrzajcie...

Gospodarz się śmiał.

— Ale z kądże data że marszałkowicz...

— Pan o tem wątpisz! krzyknął Zygmuś — to mi dobre!

Jeszcze nie dokończyli rozprawy gdy konno nadbiegł Skalski sąsiad najbliższy pana Kalasantego i zaledwie z kulbaki zlazłszy — począł wołać w sieni:

— Koniec świata! wiecie panowie — Bernard od Matki nocą uszedł... w Stadnicy sądny dzień!

— Któż o Bernardzie wam doniósł? kto? zapytał Kalasanty, ja go wczoraj widziałem i mówiłem z nim, powracał do domu, najspokojniej.

— Najpewniejsza w świecie rzecz. Wieczorem z Matką miał gwałtowną rozprawę — Marszałkowa, jak wiecie, kobieta surowa, żartować z siebie nie daje, musiała go zgromić — a ten — nie wiele myśląc, drapnął.

— Ciekawym dokąd, o czem i na jak długo? rzekł Kalasanty. — Pani Fantecka nie ma nic, on może mieć tylko to co Matka da, miłość o głodzie nie daleko zajedzie.

— Wistocie rzecz to ciekawa jak się skończy ta historya — to pewna że Fantecki coby się miał cieszyć że się żony pozbył, z którą cierpiał męki czyśćowe, w rozpaczy słyszę — rzekł Zygmunt...

— A Marszałkowa? zapytał ksiądz.

— O! Marszałkowa — dodał Skalski, po tej nie pozna nikt choćby z boleści konała — to Spartanka. Tam, ręczę wam, w domu się nic nie zmieniło na włos...

— Słowem awantury! awantury! machinalnie odezwał się wikary.

Przed oknem przesunęło się coś, jakby jeżdziec na koniu, gospodarz wyjrzał, nie powiedział nic i wybiegł na ganek.

Wszyscy goście ścisnęli się około okien usiłując dojrzeć przyjezdnego, ale najszczęśliwszym udało się tylko dostrzedz tył konia którego Zygmuś obejrzawszy zawołał — Jak Boga mego kocham — to wierzchowiec Bernarda!

Spodziewano się że i ów przybyły, Bernard czy ktokolwiek bądź inny wnijdzie z gospodarzem, milczeli więc wszyscy patrząc na drzwi, lecz szept przyspieszony dał się tylko słyszeć w sieni, potem stuk otwierających się drzwi— i cisza głęboka.

W istocie był to pan Bernard blady, pomieszany, niespokojny, który spotkawszy się z gospodarzem chwycił go za rękę i zawołał głosem poruszonym.

— Podsędku — ratuj mnie — mam z tobą do pomówienia na osobności.

— Na osobności! powtórzył Kalasanty, równie prawie zmieszany — i zakręcił się po sieni. Na przeciwko była izdebka prowentowego pisarza, Podsędek porwał za klamkę — szczęściem stała otworem, weszli...

Kawalerskie to mieszkanie nader wyglądało ubogo, a że w niem gości nie przyjmowano, był tylko jeden nawet stołek służący do pisania...

Bernard potknął sią na progu — gospodarz drzwi za nim zatrzasnął...

Wnet przybyły twarzą się ku niemu obrócił i pochwycił go za rękę.

— Panie Kalasanty, rzekł głosem przerywanym, daj mi dowód przyjaźni! Matka moja o mojej miłości słyszeć nie chce — jestem w obowiązku ratować kobietę która na mnie rachuje — musiałem opuścić Stadnicę bez grosza przy duszy — potrzebuję pieniędzy. Na jakich chcesz warunkach — pożycz, zlituj się.

Gospodarz stał zimny, zamyślony i zafrasowany, z miny jego i postawy dostrzedz było można, iż do spełnienia prośby nie miał najmniejszej ochoty.

— Na miłość Bożą! ale w cóżeś się wplątał, — zawołał do Bernarda — Ja pieniędzy gotowych nie mam, a gdybym je miał, dać bym nie mógł — cóżby ludzie powiedzieli, że ja pana Bernarda przeciwko Matce sukursuję i pomagam do rozwodu, który wszystkich przyjaciół Fanteckiego — a ten ich ma nie mało — oburzy...

Nie mogę, nie mam! bardzo mi żal, ale to niepodobna! niepodobna!

Bernard stał blady i osłupiały... Znać rachował na pomoc pana Kalasantego, a może była to jego ostatnia wybawienia nadzieja — te wyrazy ostre i wprost odmawiające uczyniły na nim lekkie wrażenie że się zachwiał i za stołek obok stojący pochwycił.

Panu Kalasantemu żal się go zrobiło.

— Siądź pan, spocznij — jesteś zmęczony, a — posłuchaj mnie, do domu wracaj, z Matką się pojednaj — Fantecka powróci też do męża... wyjedziesz na jakiś czas i wszystko się ułoży.

Bernard słowa nie mówiąc stał patrząc w ziemię — w oczach mu się kręciły łzy — a usta trzymał zaciśnięte jak ktoś co się od płaczu i łkania hamuje...

Myślał tak chwilę, potem posunął się nagle ku drzwiom, skłonił lekko, nie patrząc na gospodarza i chciał wychodzić — pan Kalasanty mu zastąpił drogę.

— Z gniewem nie odchodź, proszę, zawołał gorąco i szczerze — życzę ci jak najlepiej — ale do sprawy tej sumienie mi nie pozwala ci pomódz...

Bernard spojrzał przelotnie, zdając się nie słyszeć co doń mówiono, skłonił się raz jeszcze i wziął za klamkę. — Gospodarz stanął we drzwiach.

— Nie puszczę, rzekł... panie Bernardzie, pan nie obrachowałeś skutków tego kroku..

Młody milczał, ciągle oczy trzymając spuszczone.

— Bardzo przepraszam żem trudził pana podsędka — rzekł zimno — jak skoro nie można... i prośba moja odrzucona, nie mamy o czem mówić więcej.

Spiesznie przysunął się do drzwi, powtarzając:

— Bardzo pana przepraszam...

Pan Kalasanty napróżno drzwi zapierał, przybyły klamkę chwyciwszy, otworzył je, ale otwarłszy zobaczył, że przeciwległe od pokoju bawialnego wązką firanką przegrodzone, stały otwarte, a w nich Zygmuś Skalski i ks. Wikary stali patrząc ciekawie. Zląkłszy się ich wejrzeń musiał się cofnąć. Drugiego wyjścia nie było, a czynić z siebie widowiska nie chciał — i spojrzał na nizkie okno izdebki od podwórza — ale to było hermetycznie zamknięte. Wiedział że już po sąsiedztwie przez ludzi wieść się roznieść musiała o jego i pani Fanteckiej ucieczce, czuł że go oczyma piec będą złośliwemi.

Był to przedsmak tego co go w przyszłości oczekiwało.

Kalasanty zbliżył się i wziął go za rękę z wyrazem współczucia.

Panie Bernardzie, siądź, spocznij, odetchnij, daj się przekonać — co gotujesz Matce i sobie...

Na to wszystko nie odpowiadając młodzieniec patrzał na okno; podszedł ku niemu i ręką chwyciwszy za nie chciał gwałtem je otworzyć, ale okno od dawna nie odmykane oparło się, a gospodarz nie wiedząc co radzić — zawołał.

— Czekaj pan, ciekawym dam odprawę i wyjdziesz odemnie przynajmniej jak wszedłeś, drzwiami. W dziedzińcu parobków i ludzi pełno — coby u licha pomyśleli, że u mnie w domu awantura się stała...

To mówiąc gospodarz poszedł szybko do drzwi, otworzył je, ale ze stojącym z drugiej strony olbrzymim Zygmusiem zetknął się nos w nos. Dawał mu znaki aby ustąpił, nic to nie pomogło, zuchwale, ze zwykłą sobie poufałością, Zygmuś wtargnął i poszedł ogromną dłoń wyciągając do Bernarda.

— No — dzień dobry ci — rzekł pół uśmiechnięty dziwacznie — cóż to, nawet starych znajomych nie witasz? hę? Wstydzisz się! Co u djaska!

Gdybym ja co podobnego dokazał, jeździłbym się za biletami pokazywać. Niechaj stare trutnie rwą włosy ze zgrozy i desperacyi. — Ot — to! Cóż? człowiek już ma dla tych świętoszków serca się wyrzec? My wszystko wiemy, panie Bernardzie, a ja — przynajmniej, wszystkiego się domyślam. Przyjechałeś pieniędzy pożyczyć u Krezusa, a Krezus ze strachu odmówił... No — to siadaj ze mną na bryczkę — pojedziemy razem do Konstantynowa, ja mam kiepski kredyt, ale pszenica nie sprzedana. Epstein da na nią... choćbym przez całą zimę miał suszyć, w takim wypadku nie opuszczę przyjaciela!

Ażeby ocenić tę bohaterską ze strony Zygmusia ofiarę, trzeba było znać jego położenie... Wioska była odłużona tak, iż ledwie miał na niej tytuł dziedzictwa, za podatki co chwila remanenta sprzedać grożono, w miasteczku nie było żyda któryby nie miał wekslu od Zygmusia — ofiara była istotnie wielka, ale nie obiecywała być skuteczną.

Na tą niesprzedaną przenicę dziesięciu już najmniej ostrzyło zęby, a kilku ją miało uroczyście przyrzeczoną.

Wyglądało to więc raczej na żart niż na pomoc przyjacielską, chocież Zygmuś, nie znający własnego położenia, łudzący się niewiedzieć czem, rachujący niewiedzieć jak, miał w istocie chęci jak najlepsze.

— Dziękuję ci, panie Zygmuncie, odparł Bernard ściskając jego rękę. Tobie będzie tak trudno jak mnie dostać pieniędzy... a ja mam nóż na gardle...

Domawiał tych wyrazów, gdy ks. Wikary, czy popchnięty przez gospodarza, czy *motu proprio* wstąpił na próg i z miną wesołą, która go nigdy nie opuszczała, przybliżył się do siedzącego.

— Co pan taki pogrążony, panie Marszałkowiczu dobrodzieju zawołał — co to za wieści głupie chodzą? Alec to nie może być...

Zmieszał się Bernard i wstał ze stołka.

— To są — moje osobiste sprawy... wybąknął nie bardzo wiedząc co mówi — przepraszam ale się wcale tłomaczyć nie mogę — i — żegnam panów...

Nie miał już nic do stracenia, bo tylko jeden Skalski pozostał mu do przebycia, a i ten stał na przeciw w sieni.

Słówko o panu Skalskim powiedzieć trzeba. Był to najbliższy sąsiad Kalasantego, wdowiec mający kilkoro drobnych dziatek — słynny z tego że groszem spekulować umiał doskonale... Gospodarstwo dla niego było rzeczą uboczną, handlował zbożem, skórami, końmi, pożyczał na wysokie procenta, a choć starał się uchodzić za uczciwego człowieka różnie o nim rozpowiadano. Był chudy, trochę pochylony, nie pozornej twarzy plamistej, cery ciemnej, niezgrabny, patrzał z pod oka... lecz o ile powierzchowność miał niemiłą, o tyle w obejściu z ludźmi był przyjemny, dowcipny, wygadany i umiał słowem zręcznem wszystko zatrzeć i usprawiedliwić.

Pochylenie jego i trzymanie się garbato, zdawało się pochodzić z tego że zawsze podsłuchiwał bacznie co mówiono do koła — nic mu nie uszło, chwytał każde słowo. Znał ludzi wybornie, a wyzyskiwanie ich, wchodziło w jego rachunek powszedni.

Skalski z sieni słyszał wszystko, zdawał się tu czatować tylko, potem, jakby się rozmyślił nagle, gospodarza który stał blisko progu, ujął za rękę i szepnął mu.

— Nie mam tu co robić — bądź zdrów do domu powracam.

I wymknął się na podwórko, gdzie chłopak bosy konia jego trzymał dając mu skubać trawę pod płotem... Zdawał się szukać drobnych aby mu coś dać za to, nie znalazł i szepnął biorąc cugle:

— Drugim razem, dostaniesz na wódkę...

Potem spiesznie cugle ściągnąwszy, skoczył na kulbakę, wrotka sobie kazał odemknąć i kłusem wyjechał na drogę.

Dosyć spiesznie zniknął za budynkami włościańskiemi na zawrocie.

We dworze Wikary, Zygmuś i gospodarz obstąpili Bernarda — który ich zbywał milczeniem. Wszystkim im żal było, tego ślicznego złotowłosego, jak go nazywano, zmienionego na twarzy, zbolałego, drżącego, któremu rad by był pomódz każdy... ale jedni nie mogli, drudzy taką pomoc ofiarowali której on by był nie przyjął.

Zygmunt uznał słuszność uwag Bernarda i stał ponuro zadumany.

— Czy ja mam kredyt czy nie — dodał — ale ty go mieć powinieneś. — Co to znaczy że majątek Matki i że lichwiarz poczeka, ale cóż u stu tysięcy, żebyś pieniędzy nie dostał. Ja ci będę na ten raz rajfurem — jadę z tobą.

— Dziękuję, serdecznie dziękuję, — odparł, pozwól mi już sobie radzić samemu.

To mówiąc nie patrząc na nikogo, pomieszany dostał się do drzwi i wyszedł do sieni. W milczeniu wszyscy mu towarzyszyli, nie odzywając się więcej pobiegł do konia siadł i nie skłoniwszy się nikomu, wyjechał.

W ganku zostali gospodarz z rękami w kieszeniach zadumany, Wikary osmutniały przeciw zwyczajowi i Zygmuś gniewny. Popatrzeli za odjeżdżającym.

— Wiesz co podsędku, odezwał się Zygmuś — zdaje ci się żeś popełnił cnotliwy uczynek, odmawiając mu pieniędzy — a no, jeśli się utopi, albo sobie w łeb palnie — będziesz go miał na sumieniu.

— Ech! ech! rzekł Kalasanty — z miłości już w XIX wieku nikt takiego głupstwa nie robi! — Nie boję się. — Miałem mu dawać na rozwód, o czem by cały świat wiedział? — ale? aby mi Fantecki dom wymówił, a Marszałkowa na wieki ze mną rozbrat wzięła!!

Wikary dorzucił — Niech się troszkę pokręci, pobieduje... a bez grosza do domu powrócić musi skruszony, nie ma jak golizna żeby do skruchy doprowadzić: *probatum est!* Ręką w której chustkę ogromną karmazynową trzymał machnął w powietrzu, a Zygmunt żywo począł:

— Fałszywe kałkuły, mosterdzieju! Pieniędzy chłopiec dostanie — Fantecka uciekła, rzecz rozbębniona, nic już nie pomoże, po cóż go męczyć? Na to nie ma rady! Lepiej koniec przyspieszyć, aby zgorszenia mniej było...

— Jaki koniec? co się asanu śni? oparł się Wikary —rozwodu nasz Biskup nie da! ja go znam! z tego nie będzie nic... Fantecki nie dopuści, Konsystorz ślubów nie rozwiąże... Co najwięcej jeśli seperacyę dostaną, a jejmość w klasztorze osadzą... Więc cóż? Seperatka za mąż nie pójdzie — a jeśli Bernard i ona psom oczy sprzedadzą, to muszą się świata wyrzec całego, bo się ich nasz poczciwy ludek wyprze jak trędowatych...

Wikary mówił z zapałem — Zygmuś się śmiał.

— Mój ojczulku — rzekł — czy to lepiej gdy się otwarcie rozwodzą, czy jak pani Franciszka która męża porzuciła i żyje z leśniczym na swojej wiosce, albo hrabina, do której jako przyjaciel domu dojeżdża pan Salezy.

— I to złe i to nie dobre! wybuchnął Wikary — zepsucie! rozpusta, zbytki... szkarada... których tolerować się nie godzi... Tak! tak! powtórzył gniewnie... Pan Kalasanty święcie zrobił że pomocy odmówił, matka że o synu słyszeć nie chce... wy tylko młokosy protegujecie te romanse.. boście sami po uszy w błocie — a to błoto! błoto!

(d. c. n.).

LIST PIĄTY

DALEJ NA ZACHÓD.

Council Bluffs w Stanie Jowa

w Ameryce północnéj

PRZEZ

SYGURDA WIŚNIOWSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

Daleko chętniej jak polityczne badam domowe i socyalne stosunki tutejsze. Nie powiem by mnie zachwycało to życie Amerykanów. Pomimo purytanizmu i święcenia Niedzieli, wątpię czy cnotliwsi oni od mniej bogobojnych ludzi. Panie czytające biblię tak często, przesadzają się w strojach i błyskotkach, i nienawidzą *licznej dziatwy*. Jak we Francyi tak i tu rzadko ujrzym u ludzi zamożnych nawet więcej nad dwoje dzieci, snać matki wolą poświęcać czas zabawom i chodzeniu po sklepach mód i złotnictwa, jak pielęgnowaniu niemowląt. Czy owa gorliwość niewiast tutejszych w słuchaniu odczytów medycyny, nie wpływa cokolwiek na tak powolne zwiększanie się rodzin? Znajomi moi twierdzą iż panie doktorki tutejsze oddają się chętniej pewnej nieuczciwej gałęzi swej sztuki, jak leczeniu chorób zwykłych.

Na doktorach w czepku nie zbywa w Chicago. W każdej gazecie kilka ich obwieszcza miejsce swego zamieszkania i ofiarują swe usługi w sposób czasami nie bardzo delikatny. Nigdy jednak nie spotkałem w dziennikach tutejszych tak bezczelnych obwieszczeń jak w wiedeńskich. Cokolwiek sromu pozostało jeszcze w córkach anglo-saskich matek, i wątpię czy wyrównają kiedykolwiek Niemkom w bezwstydzie.

W rozmowie ze znajomemi mi Amerykanami, nie widziałem owego oburzania się na żądanie kobiet o równouprawnienie, jak w naszych panach. Nikogo tu nie dziwi, że kobiety zapełniają urzęda telegraficzne, uczą się doktorstwa, prawa a nawet prawią kazania z ambony. Niektórzy drwią z chętki niewiast otrzymywania równie wysokiej zapłaty jak mężczyzni, inni twierdzą jednak, iż jeżeli kobieta spełnia męzką pracę to i równa z mężczyznami zapłata jej się należy. Dziś naprzykład dają kobietom rachmistrzom 9 dolarów na tydzień, gdy mężczyzna 18 otrzymuje: wątpię jednak by ten stan rzeczy długo potrwał.

Co do nadania głosu przy wyborach, to i pod tym względem sprzyjają niektórzy Amerykanie kobietom a mianowicie purytanie; przekonałem się o tem z kilkakrotnych rozmów, że i członkowie towarzystw wstrzemięźliwości, liczą na głosy kobiet, gdyby się udało kobietom przeprowadzić prawo przypuszczające wdowy i pełnoletnie panny do urny wyborczej. Co do mężatek to nie wątpię, iż każda gospodyni zgodziłaby się na prawa drakońskie przeciw sprzedaży wódki i piwa. Zaiste, nie długo by się ostały szynkownie, gdyby los ich spoczywał w ręku niewiast!

Nie dziwiłbym się wcale gdybym usłyszał za jakie lat dziesiątek, iż nietylko kobiety amerykańskie głosują pospołu z mężczyznami, lecz że udało im się wysłać kilku deputowanych płci swej do kongresu w Washingtonie. Taki dodatek wcaleby nie zepsuł tego zbiorowiska krzykliwych i kłótliwych prawodawców, mało dbających dziś o przyzwoitość towarzyską i etykietę parlamentarną.

Przy ogólnem uszanowaniu Amerykan dla płci pięknej, panowie deputowani pewnoby używali wyrazów grzeczniejszych i ciszej się spierali. Kto wie nawet czyby zamiast silić się na obelgi, nie poczęli jaśnieć dowcipem i zdrowym poglądem na świat, chcąc się popisać w obec swych pięknych współdeputowanych.

Gdy mowa o kobietach, przyznam iż Amerykanki wielce przypadły mi do smaku. Rysy angielskich kobiet, cera mniej może różana i zdrowa, płeć cokolwiek mniej delikatna, lecz za to więcej wyrazu i ognia w twarzy i oczach, tworzą całość do zakochania się. Szkoda tylko iż szyniony, wydęte szaty i złote świecidła kosztują tyle pieniędzy, że nieszczęsny mąż amerykański musi pracować jak wół, by jejmości na nich nie zbywało. Gdyby panie te mniej wymagały wygód i strojów nie miałbym im nic do zarzucenia.

Niestety! nietylko iż wymagają dużo od mężów lecz nie nader podobno pilnują garnków i skarpetek. We wszystkich zamożniejszych domach w Chicago do których wstęp otrzymałem, nie widziałem pań zajmujących się ani kuchnią, ani bielizną ani żadną rzeczą która do kobiet należy, oprócz stroju, fortepianu (na którym brzdąkają okropniej jak nasze) i czytania romansów. Rodzina jedząca w hotelu, dająca bieliznę do pralni parowej, a szycie do zakładów maszynowych, dziwnie wygląda w mych oczach. Inaczej to dzieje się w Anglji i Australji, gdzie kobiety rozkoszują się w wyszukiwaniu ciągłych drobiazgowych zajęć. Ciągłe ich krzątanie się ożywia dom i przyczynia się do wygody mężów i ojców.

Jak zawsze tak i teraz zastanawiano się głębiej nad przyczynami różnych zwyczajów ludzkich. Pytam się więc dla czego córki Angielek i Niemek, urodzone na amerykańskiej ziemi, zupełnie zaniedbują zwyczaju matek jeżeli tylko dochody mężów pozwalają na życie próżniacze?

Pochodzi to bez wątpienia, z trudności dostania i trzymania służących żeńskich. *Help* (pomocnica) tutejsza, bardzo niezależna od pani porzuca ją za lada przyczyną. Biddy (Brygida) i Kate (Katarzyna) irlandzka która u siebie w domu skrobała stoły i podłogi za parę dolarów na miesiąc, a na codzienną strawę otrzymywała kartofle i maślankę, tu, gdzie jej 20 dają dolarów i mięso 3 razy na dzień, nie chce się brać do takiej pracy. Niemki cokolwiek mniej wybredne również jednak opryskliwe, dziewczęta zaś amerykańskie, choćby najuboższych rodziców, wcale nie idą w służbę lecz poszukują zajęcia w sklepach, biórach lub przy fabrykach. Niedziw więc po części iż gospodynie tutejsze, chcąc się uwolnić od kaprysów służby, zaniechały gospodarstwa domowego i uciekły się do hotelów, publicznych pralni i szwaczek.

Zwyczaj ten mniej więcej ginie jak inne, o których nie wiele wiecie w Europie. Jeden z tych zwyczajów, mianowicie *żucie* kosztownych a obrzydliwych żywic korzeni i t. p. rozkrzewił się ogromnie w tutejszych miastach. Nawet damy z największych rodzin mają się oddawać temu nałogowi.

Pewnego dnia nie zastałem mego adwokata w domu, czekając na niego usłyszałem głos dorosłych córek w przyległym pokoju. Drzwi były otwarte a gdy obie młode i piękne, nie mogłem oprzeć się pokusie rzucenia okiem ku stronie zkąd dolatywała mnie rozmowa.

Obie siedziały koło okna i kołysały się wedle tutejszej mody w olbrzymich fotelach. Obie poruszały szczękami w przerwach rozmowy zupełnie jak mężczyźni tutejsi gdy żują prymkę tytoniową.

Cóż u Boga, pomyślałem, czy te młode i tak cudnie piękne panny lubią nikotynę?

Przysunąłem się cichaczem do drzwi, tak iż nie stałem dalej od nich jak o 6 kroków. Jedna z nich zachwalała przed siostrą jakieś czasopismo literackie. Druga znów, otworzyła usta i widziałem na nich żółtą ślinę.

Niedługo mogłem przysłuchiwać się ich rozmowie. W przedpokoju rozległ się odgłos kroków męzkich. Skoczyłem czemprędzej ku kanapie i siedząc cicho jak trusia oczekiwałem gospodarza.

Wszedł, powitał grzecznie i począł prawić o polityce. Po półgodzinnej rozmowie pożegnałem go i poszedłem wprost do przyjaciela, byłego kapitana wojsk jego sułtańskiej mości i rycerza krzyża Franciszka Józefa, a dziś subiekta w aptece.

On, bawiąc dłużej w Ameryce i pracując w aptece, wnet zaspokoił mą ciekawość co do żucia pań tutejszych Nie tytoń, lecz rozmaitego rodzaju żywice, cierpkie a nawet piekące, służą im do zabijania chwil wolnych i parzenia dziąseł. Bogate i ubogie gustują w tej obrzydliwości, i żują nieustannie, jeżeli rodzice nie dość zwracają uwagi na ich wychowanie. Oczywiście iż w większej części domów przyzwoitych, nie pozwolonoby córkom na taki niedorzeczny zbytek. Gdzie jednak panny używają tyle wolności jak w miastach tutejszych, łatwo im oddawać się nałogowi temu bez wiedzy i wbrew woli matek.

Aptekarz nie mógł mi się naopowiadać o rozmaitych dziwactwach panienek. Są tu takie które golą brwi, jeżeli przyroda nie obdarzyła je pięknemi. Ogoliwszy je starannie kupują kredki umyślnie na ten cel robione i malują na czole piękne łuki, zupełnie wyglądające jak brwi naturalne. Na własne oczy widziałem panią, młodą, ubraną wykwintnie i nie brzydką, gdy wybierała ołówek koloru jasno bląd. Pan W.... (tak się zwał mój przyjaciel) zaręczył mi iż brwi tej pani i policzki malowane a ciemne jej włosy zmienione na złoty kolor, za pomocą kosmetyków. Żadna paryżanka nie zużywa tyle różów, bielideł i pachnideł, jak ta piękność amerykańska, której twarz zupełnie inaczej wygląda w południe jak z rana. Takie rzeczy dzieją się w kraju, gdzie dwieście sekt rozmyśla bezustannie nad najkrótszą drogą do nieba: w kościele, na ulicy i w domu słyszysz bezustannie kazania o znikomości rzeczy ziemskich! Tyle pobożności na ustach a lekkomyślności w sercu źle się z sobą zgadzają. Musiałem aż do Ameryki zajechać by je ujrzyć w parze.

Wedle opowiadań aptekarza nie tylko żywice ale i opium i inne wchodzą tu w modę. Nie wierzyłbym mu, gdyby nie częste obwieszczenia w tutejszych dziennikach, w których szarlatani i lekarze polecają nieomylne przeciw chorobliwej skłonności do żucia środ-

ki opium. Gdyby ta skłonność nie była upowszechnioną nie umieszczanoby w gazetach takich obwieszczeń.

Z poprzednich uwag przekonacie się kochany Redaktorze, iż zupełnie nie zachwyciła mnie śmietanka towarzystwa tutejszego. Do domów stojących wysoko duchowo nie miałem wstępu w Chicago, nie śmiem więc twierdzić by wszędzie panowała taka skłonność ku strojom i nałogom nieodpowiednia dla ludzi wykształconych. Lecz że wiele z arystokratów i arystokratek pieniężnych tutejszych wcale nieprzyzwoite ma narowy, przekonałem się naocznie. Tubylców wcale one nie rażą, tak jak ciasne trzewiki nie rażą Chińczyków.

Zapewne słyszeliście o łatwości z jaką zawierają i zrywają śluby małżeńskie w Ameryce. Bez formalności i długich zapowiedzi żenią się tu ludzie, niemniej też łatwo i rozłączają się, jeżeli obie strony ku temu skłonne. Istnieją tu podli prawnicy, trudniący się wyłącznie i za niską cenę rozłączaniem tych, których Bóg złączył. Pomimo iż publiczność palcami wytyka takich mataczów, nigdy na nich nie zbywa.

W Illinois, stanie którego stolicą jest Chicago, kosztuje otrzymanie rozwodu dużo pieniędzy, zwłaszcza gdy go żąda tylko jedna strona. Żona musi dowieść mężowi okrucieństwa, pijaństwa lub wiarołomstwa zanim ją sądy uwolnią z pod jego władzy. Zarzut okrucieństwa tak jednak nieokreślony, iż zręczny prawnik zdoła często przedstawić kilka słów cierpkich lub cios zadany w chwili szału, jako dowód ciągłego pastwienia się nad żoną. Pewien znany mi Czech pokłócił się raz z małżonką Niemką, gdyż kartofle podane na stół były niedogotowane. On twierdził że twarde, ona że miękkie, od słów cierpkich przyszło do ostrej kłótni; mąż oburzony porwał żonę za rękę i wkładając gorący kartofel w jej dłoń otwartą, tak silnie ścisnął białe i pulchne palce iż je sparzył. Oburzona połowica opuszcza dom, męża i dziatwę i podaje prośbę o rozwód. Oczywiście iż znalazła za pieniądze prawnika i kto wie jaki obród wziętaby cała sprawa, gdyby małżonek zakochany nie spotkał jej pewnego dnia przypadkowo u wspólnych przyjaciół. Kochając ją i drżąc o los dziatwy, póty błagał panią i całował sparzoną rączkę, aż mu wybaczono zbrodnię. Pan adwokat dostał od męża 50 dolarów byleby tylko nie buntował mu żony.

W Indyanie, stanie przylegającym do Illinois, najłatwiej o rozwody. Tam też udają się pary niezadowolone z siebie i za kilkadziesiąt dolarów otrzymują dekret pozwalający im rozłączyć się na zawsze i w nowe wchodzić związki. Czasami już po kilku tygodniowem rozstaniu poczną tęsknić za sobą i bywały wypadki że rozwiedzeni napowrót się pobrali, oczywiście iż musieli przejść przez całą ceremonję drugiego ślubu, tak jak gdyby z sobą nigdy nie żyli.

Pomimo łatwości rozwodów nie można uważać pożycia tutejszych małżeństw za gorsze od innych. Gdziekolwiek bywałem uważałem, iż mężowie bardzo troskliwi o wygody pań i przywiązani do dziatwy. Wszyscy żonaci panowie zdają się wytężać wszystkie siły, by zarabiać jak najwięcej na wygodne utrzymanie rodziny, a po pracy dziennej nie uczęszczają do miejsc publicznych i klubów, lecz przesiadują z rodziną. Zawsze zdawało mi się iż rodowici Amerykanie więcej dbają o swe połowice jak one o nich. O ile mogłem się dowiedzieć, towarzystwo tutejsze zupełnie nie pogardza rozwódkami lecz stanowczo potępia i wyklucza ze swego grona wiarołomne małżonki. Wielka w tem logika, gdyż jeżeli ludzie najczęściej poślubiają się z miłości i mogą się rozwieść tak łatwo jak w Ameryce, mąż i żona mniej znajdą wymówek do złamania wiary. Rozstańcie się jeżeli się nie kochacie, lecz nie gorszcie innych: oto zasada tutejsza.

Co do stosunków majątkowych tu zupełnie one inne jak w Anglji. Własność żony należy do niej samej, zupełnie jak u nas, mąż ani zadłużyć jej, ani marnotrawić nie może. Prawo nie pozwala nawet by sprzedano domostwo (homestead) człowieka żonatego za własne jego długi. Kto tylko jeden dom posiada nie może go postradać choćby miał milijon dolarów długu.

Rodziny tutejsze, mieszkające w hotelach i mało dbające o pewne stałe miejsce pobytu, przenoszą się bez wahania z miejsca na miejsce i z miasta do miasta. Kto niezwiązany jakąś własnością, lub stosunkami handlowemi, tuła się często za lada widokami lepszego zarobku. Adwokat znany mi, był rodem z Nowego Yorku a rozpoczął karyerę swą prawniczą w Nowym Orleanie. Z tamtąd przeniósł się do Kalifornji myśląc iż prędzej się dorobi majątku, wnet jednak doniesiono mu iż w Chicago znajdzie jeszcze obfitsze żniwo procesów. Przyjeżdża więc do Chicago. W owych czasach nie istniała kolei żelazna do Kalifornji, musiał więc i tam i napowrót opłynąć północną Amerykę i przebyć Panamę. Dziś, gdy już uciułał dość tysięcy dolarów, by porzucić swój zawód i żyć wygodnie, zamierza przenieść się napowród do rodzinnego gniazda. Zdaje mi się iż bawi w Chicago li w zamiarze wydania córek za mąż, a rzecz to niełatwa i w Ameryce. Jak u nas tak i tu panny posażne i piękne, patrzą wysoko, bogaci panicze wyżej jeszcze. Chociaż rodzice mniej się mieszają w swatanie jak w Europie, same dzieci mają dość rozsądku by pamiętać iż miłość bez dolarów, nie kupi jedwabiów i pysznych mebli. Dodajmy iż żony tutejsze ogromnie wymagające, a pojmiemy łatwo dla czego panowie nie kwapią się z żeniaczką. Nasz adwokat nie tak łatwo pozbędzie się swych panienek. Nawet młodzież w średnich stanach bardzo ostrożna w tym względzie i mniej często dopuszczają się wybryku tak częstego w Anglji i Australji, by dwoje młodych i niemajętnych ludzi się pobrało. Piękna moja i szepleniąca znajoma, której ojciec zubożał z przyczyny pożaru, przyznała mi się pewnego wieczora iż wolałaby, by młody ładny prawnik posyłający jej czułe wiersze, mniej rymów pisał a częściej w aktach szperał.

— Bardzo mało zarabia, choć pracy mógłby mieć niemało, powiedziała. Może za lat parę przybędzie mu rozumu i weźmie się szczerzej do swego zawodu, tymczasem wątpię czy ma większy dochód ode mnie, choć tylko jestem rachmistrzem w sklepie.

— U nas w starym kraju, panny nie liczą tak ściśle dochodów kawalerskich, odrzekłem. Rzecz ta należy do rodziców.

Chociaż spłonęła cokolwiek odebrawszy taką naganę, odrzekła jednak bez wahania.

— Papa mój bardzo zajęty własnemi interesami i mało ma czasu by zbadać jak też pan L... (adwokat) stoi pieniężnie. Ja dowiedziałam się jednak iż ma więcej długów jak przystoi tak młodemu człowiekowi.

— Czyż ze względu na długi odrzuciłaś go pani?

— Stanowczo go nie odrzuciłam. Jeżeli za lat parę spłaci wierzycieli i urządzi się lepiej, chętniejbym się z nim widywała jak dziś. Zresztą oboje jesteśmy bardzo młodzi i nieustaleni w naszych zawodach, by stanowcze czynić przyrzeczenia.

O ty młoda szczebiotko! gdybyś nie w Ameryce lecz Europie żyła a papcio nie wglądał w stosunki pieniężne twego szarmanta, nie chciałabyś pewno czekać aż kawaler się ustali a ty postarzejesz! By tak zdrowo jak ty liczyć, trzeba być amerykańskim rachmistrzem. Ta sama pani wcale się nie obraziła, gdy spotkawszy ją na ulicy około godziny 3-ciej po południu, zapytałem gdzie idzie i czy ma czas wolny.

— Pryncypał mój wyjechał, nie mam więc zajęcia w biórze, idę zatem do domu, odrzekła:

— Ja jadę na wyścigi do parku: jeżeli pani raczysz mi towarzyszyć, uszczęśliwisz mnie nadzwyczaj.

— Tak lubię wyścigi i tak nie często starczy mi czasu by je oglądać, iż chętnie pojadę z panem.

Wsiedliśmy więc do przejeżdżającej kary i pojechaliśmy do parku. Ponieważ w każdym wozie tranwajowym tutejszym są skrzynki pocztowe, a miałem kartę korespondencyjną przy sobie, więc nakreśliła ołówkiem kilka słów do rodziców, ostrzegając ich iż jedzie ze mną na gonitwy i wróci później do domu.

d. c. n.



KORESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Paryż.

Gołoledź i wynikłe z niej wypadki. — Nowa Opera. — Wniosek p. Cezanes o urządzenie obserwatoryum fizyczno-astronomicznego. Sprawozdanie p. Faye w Akademji Nauk. — *Cuda przemysłu*, Ludwika Figuier. — *Indye Rojahów*, L. Rousselet.—*Komety*, p. Guillemain.— *Wiek XVIII, instytucye, zwyczaje i kostiumy*, p. Lacroix. — Przyjęcie Dumasa do Akademji.

Tygodnie karnawałowe jakoś mniej wesoło przeszły nam jak dawniej; obok wielu innych ważniejszych przyczyn już samo powietrze nie dodawało humoru. Zimno i słota dokuczały na przemian i ztąd powstające gołoledzie jakiej w Paryżu najstarsi ludzie nie pamiętają. Jedna z nich nabierze nawet historycznego znaczenia.

Jest tu powszechnie przyjęte, że ostatni dzień a przynajmniej wieczór kończącego się roku i pierwszy nowego, spędza się w gronie rodziny lub najlepszych przyjaciół; jedni przepędzają je w domowem kółku, inni razem idą do teatru, otóż z tych powodów w nowy rok mało kto nocował w domu. Późnym wieczorem skutkiem strasznej gołoledzi niepodobna było prawie utrzymać się na nogach; wiele osób połamało ręce i nogi, wiele matek i piastunek, upadając poraniły dzieci które niosły na ręku. W ogóle naliczono około 2,000 wypadków. Ustała zupełnie cyrkulacya powozów, fiakrów i omnibusów, gdyż nie kują tu koni na ostro i dla tego w razie gołoledzi furmani co prędzej uciekają do domu. W domach gdzie były jakieś czy to liczne czy mniejsze zebrania, goście bawili się do rana; połowa Paryża nie nocowała w domu; wracający z teatrów, chronili się do najbliższych hoteli; inni nocowali w powozach lub omnibusach od których odprzężono konie. Kobiety na ulicach zdejmowały pończochy i kładły je na buciki, aby się łatwiej zabezpieczyć od pośliznięcia. Jedni przeklinali, drudzy płakali lub rozpaczali, był jednak jeden przemysłowiec który po dziś dzień błogosławi gołoledź, bo dzięki jej w ciągu tej jednej nocy zrobił majątek. Ma on fabrykę i sklep pilśniowego obuwia, otóż widząc co się dzieje oświetlił sklep i sprzedał tysiące trzewików na miękkich podeszwach. Nie darmo mówi przysłowie: gdy jeden płacze to drugi skacze.

Obecnie Paryżanie poznali już wnętrze cudów swojej nowej Opery; rzeczywiście jest to gmach któremu pod względem przepychu i bogactwa nie ma równego w Europie. Każdy przekraczający progi nowej Opery, zostaje olśniony tak całością jak szczegółami. Dość spojrzeć na te wspaniałe olbrzymie wschody po których zdaje się powinnyby tylko stąpać osoby uwiecznione pendzlem Veroneza, Ticyana, Van Dyck'a i Rubensa: my w naszych tegoczesnych ubiorach wyglądamy na nich karłowato, niby Pigmejczyki Gdzie rzucisz okiem olśniewa blask marmurów, onyksu, jaspisu, złota i przepysznych mozajek, wyraźnie czujesz że wkraczasz do świątyni *bożka Miliona*. Widać że architekt czerpiąc pełnemi rękami w bezdennej skrzyni złota, upojony, rozszalały coraz świetniejszym prze-

pychem, powtarzał sobie: wydajmy coraz więcej, wesoło, swobodnie, nie oglądając się na nic, dla przyjemności wydawania pieniędzy; im więcej gmach będzie kosztować, tem piękniejszy będzie.

Mówiono że Wenecya była wynikiem marzenia oceanu, nowa ta Opera, cud przepychu, nagromadzenie bogactwa i ozdób, jest marzeniem wieku który stracił wiarę w ideał i wierzy tylko w bogactwo. Wszystko tu jest jakby udowodnieniem ostatecznego tryumfu materyi. Nie winię jednak p. Karola Garnier, twórcy nowej Opery; dowiódł jedynie że doskonale rozumie i zgadza się z duchem czasu. W każdym razie całość jest zdumiewająca, tylko sama sala teatralna, nie odpowiada może olbrzymim rozmiarom kolosalnego gmachu; szczególniej z piewszego rzutu oka wydaje się za małą; jednak po rozpatrzeniu, wrażenie to się zmienia. Sala mieści w sobie 18 lóż parterowych, zwanych „baignoires“ w których jest 110 miejsc wygodnych i obszernych. Lóż pierwszego piętra, wraz z dwoma „avant siene“ jest 37; nie we wszystkich jest jedna liczba miejsc, w ogóle 250 ale w razie potrzeby może być zwiększoną. Na drugiem piętrze jest lóż 39, miejsc 250, na trzeciem 45 lóż mogących pomieścić od 290 do 350 miejsc; na czwartem samych lóż frontowych 24 na 140 miejsc i 15 loż po za amfiteatrem, na 60 osób. Te ostatnie są to może najgorsze miejsca z całej sali. Ale bez względu na piętro wszystkie loże opatrzone są pięknemi salonikami wygodnie i bogato urządzonemi. W ogóle obliczono że bardzo wygodnie i przestrono może się pomieścić w sali 1835 osób, zaś w razie potrzeby 2521.

Tak więc odpowiednio rozmiarom całego gmachu, sala teatralna nowej Opery mogłaby być większą, i jest wiele teatrów mniejszych a urządzonych dla liczniejszej publiczności. Teatr w Lizbonie mieści 2,000 widzów, jak również wenecki *la Fenice* i dworski berliński, Angielski Covent-Garden 2,500; teatr w Dublinie 2,400; nowy teatr dworski w Wiedniu 2,406, w Monachium 2,300; Nowo-Yorska Akademija muzyki 2,500, a w Filadelfji 2890; a nakoniec słynny La Scala w Mediolanie, największy z teatrów w świecie, około 3,000. Ale to pewna że w żadnym nie ma miejsc tak przestronnych, tak wygodnych i dobrze rozłożonych, jak w Nowej-Operze.

Wejścia i wyjścia są tak liczne i dobrze rozmieszczone, że nawet w wypadku pożaru, publiczność mogłaby rozejść się swobodnie. Aby dać wyobrażenie o wielkości gmachu, powiemy tylko że zajmuje 150 metrów długości i 100 szerokości.

Pierwszy pomysł zbudowania Nowej Opery, wyszedł od hrabiego de Morny, który powróciwszy z Petersburga namówił Napoleona III. aby wspaniałym tym gmachem przyozdobił Paryż. Prace około budowy Nowej Opery rozpoczęto w sierpniu 1861 r. przerwano je prawie w 1871 a według obliczeń, z końcem 1873 r. wydano na budowę 28,400,000 fr. Gdy w listopadzie t. r. spłonął gmach Opery przy ulicy La Peletier, trzeba było pracować pośpiesznie aby dzieło było skończone w 1874. Wtedy ulegając naciskowi, Zgromadzenie narodowe zagłosowało na ten cel 3,500,000 fr. obok wyznaczonych poprzednio 1,000,000 fr. Tak więc według obliczeń, do dziś gmach kosztuje 32,900,000 fr. a jeszcze wiele rzeczy, nie jest tak wykończonych jak p. Garnier zamierzył. Oprócz powyższej sumy wydano 2,500,000 fr. na dekoracye, kostiumy i akcessorya, a sama wartość zajętego gruntu, wynosi 10,000,000 fr. Dodawszy wszystkie liczby, wypada że Nowa Opera kosztuje Francyą 45,000,000 fr.

Wiadomo że jeszcze w lipcu r. z. Cezanne, członek Zgromadzenia narodowego, przedstawił temuż Zgromadzeniu wniosek żądający utworzenia w Paryżu obserwatoryum poświęconego wyłącznie badaniom astronomji fizycznej, jakie urządzono już w wielu krajach. Rząd zobowiązał się rozpatrzyć wniosek, i w tym celu zawezwał Akademiję Umiejętności o objawienie swego w tym przedmiocie zdania. Czyniąc zadość odezwie ministra wychowania publicznego, Akademija wyznaczyła oddzielną komissyę której sprawodawcą był pan Faye. Uczone zgromadzenie nie tylko oświadcza się za urzeczywistnieniem wniosku p. Cezanne, ale najusilniej go popiera „jako niezbędnym dla postępu nauki i naukowej sławy kraju.“

Sprawozdanie p. Faye napisane jest uczenie i zarazem nader zajmująco; szczególniej ciekawe są ustępy wtajemniczające w cuda, dokonane przez badanie światła, fenomena polaryzacyi i analizę widma słonecznego. Przytoczymy tu niektóre ustępy:

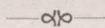
„Któż nie przypomina sobie, mówi uczony sprawozdawca, głębokiego wrażenia jakie wywołało ogłoszenie pierwszych rezultatów, otrzymanych przez p. Kirchoff w skutku badań nad linijami widma słonecznego. Odtąd materya gwiazd podlegała anolizie jakościowej, tak jak gdyby dostrzegacz trzymał w ręku kawałki ich substancyi.... Istotna natura mgławic została nam objawioną; gwiazdy zostały rozklassyfikowane według ich temperatury i składu chemicznego, o mało nie odnaleziono objawów wykazujących nieznany dotąd stan chemiczny; nawet komety przedstawiły zupełnie nowe fenomena, równie szczególne jak dziwaczne ich kształty. Słowem odkrycie sławnego uczonego niemieckiego, okazało się nadzwyczaj płodne w następstwa, i od owej chwili, astronomija fizyczna, inagurowana przez Arago, została stanowczo ukonstytuowaną.“

(d. c. n.)

Pogadanki Wieczorne na Wsi

p. Erckmann-Chatrian,

przełożone z francuskiego przez W. K.



Wąwóz Zinzell w Wogezach rozciąga się od Dosenheim w Alzacyi do Wechem w Lotaryngii. Nie znam miejscowości obficiej pokrytej zielonością; widać tam dęby, buki, jodły; bluszcze i powoje pnące się na skałach, jarzębiny strojne w pąsowe grona i rozłożyste białe brzozy płaczące pochylone po nad przepaścią— a wszystko to kołysze się, chwieje, aż się w oczach mieni, wszystko w okół kwitnie w tym długim, sześcio-milowym przesmyku! Rano i wieczór, kozy, sójki, drozdy, sikory, przywołują się, swawolą wśród liściastych krużganków, jak w olbrzymiej klatce. Ustronie to przerzyna Zinzella. Na pozór zupełna cisza panuje. Zdawałoby się że maleńkie chatki leśne wciśnięte w zagłębieniach gór, bywają odwiedzane tylko przez swych spokojnych właścicieli, jako to: starego gajowego z niedostępnemi psami, gosposię rozwieszającą bieliznę na krzakach w ogródku, dzieci pasące kozy między skałami i niekiedy przez rybaka przesuwającego się leniwie po za spruchniałemi wierzbami, z siecią na ramieniu.

Było to na jesieni w 1848 r. groble przy młynie Kritzmühle położonym w samym środku wąwozu, przerwały silne ulewy; zawezwano mnie jako przedsiębiorcę podobnych robót, do naprawienia szkody. Wpadając do głębokiego parowu woda porwała swym prądem wszystko — ziemię i belki. Trzeba było znosić się z nadbrzeżnymi mieszkańcami sąsiadującymi z obudwóch stron dawnego młyna, przekopywać łąki, świdrować skały, słowem poszukiwać nowych materyałów. Dość powiedzeć, że przez sześć tygodni, zdołałem zaledwie sprowadzić sobie robotników z dalekich stron i nareszcie zabrać się do dzieła.

Wieczorami, chodziłem zwykle na noc do oberży ojca Ykel.

Wyobraźcie sobie pomiędzy chatkami rozrzuconemi wzdłuż ruin starożytnego klasztoru, sterczącą nędzną zmurszałą ruderę ze stodołą, szopą i stajnią. W szopie schną sieci rozwieszone na belkach, śpią kury ukrywszy łebek pod skrzydła, króliki przemykają się w cieniu. Do mieszkania wchodzi się przez kuchnię; drewniane wschody wiodą na prawo, a na lewo niziutka, ponura gościnna izba, która tak jest zastawiona długim stołem, ławkami, szafą, piecykiem i fotelem z żelaznemi zębami służącemi do zawieszania naczyń, że nie wiadomo gdzie się umieścić. Wracając już późnym wieczorem, po odprawieniu robotników, zastawiałem zawsze na rogu stołu swój talerz fajansowy i małe cynowe stućce przy ogromnym półmisku potrawki z kury, z wiewiórki lub pstrągów na szaro, obok butelki białego wina i dużego bochenka razowego chleba. Byłem najpierwszą osobą w tym domu. Inni mieszkańcy, ojciec, matka, dzieci i kuchareczka Karolina, jadali kartofle w mundurach z mlekiem zsiadłem.

Dzieci wolałyby pewno wiewiórkę lub pstrągi, za każdym razem wykręcały się na ławce niespokojnie, zerkały z pod oka na moją ucztę, obcierając podszewką od rękawów zamorusane noski. Kiwałem aby się zbliżyły, ale ojciec Ykel wołał zaraz „hola!“ twierdząc że wtenczas jego dzieci będą jeść pstrągi i wiewiórki, jak same nauczą się je łowić. Serce mi się krwawiło — stary nie żartował, pozostał niewzruszonym. Zajadaliśmy więc w milczeniu każdy swoje, ogień trzeszczał, widelce podnosiły się i opadały, kopcąca lampka oświetlała twarze młode i stare, surowe lub uśmiechnięte, oczy przyćmione wiekiem lub błyszczące młodością. Przy słabem świetle lampki, widać było także motek lnu suszącego się u sufitu i wielkiego psa polowego siedzącego na tylnych łapach z łbem wyciągniętym w kierunku mojej salaterki; wyczekiwał na kości które zawsze chwytał w powietrzu i chrupał dwoma poruszeniami szczęki.

Na dworze, żadnego ruchu prócz szmeru rzeki, noc była tak ciemną w cieniu skał, że nawet niepodobna było dojrzeć kałuży wody nagromadzonej w czasie deszczu.

Ani jednego przechodnia!

Nikt nie wychodził dla własnej przyjemności; gdy nas sen zaczął opanowywać po kolacyi i zdjęciu obrusa, dawał się słyszeć w dali stuk sandałów pod murem.

To stary kontrabandzista Jan Hurel przezwany *jednorękim* zbliżał się do karczmy w kurtce z koziej skóry, z okutym kijem.

Biedak, lewą rękę stracił w potyczce z celnikami; to stare dzieje.

Zasiadał zwykle w kącie kurząc swą lulkę wtenczas gdy Karolina podawała mu kieliszek wódki.

Trochę później nadchodził wysoki Tix w kamizelce i spodniach z niebieskiego płótna, ruda broda i szeroki pilśniowy kapelusz spłaszczony na karku — odznaczały go. Mówiono że nie był dobrze widzianym przez żandarmów, za dostarczanie zwierzyny wszystkim hotelom w Saverue, Haguenau i Sarrebourg'u; wojsko śledziło go od lat 30, nie mogąc ani razu pochwycić. Cała gromadka jego dzieci rudych zręcznych i śmiałych jak ojciec, uprawiała takiż sam przemysł plądrując między skałami, matka dopomagała im — byli przebieglejsi od lisów. Tix zasiadał spokojnie, wypijał w milczeniu, jeden, dwa, trzy kieliszki wódki, marząc Bóg wie o czem.

Niekiedy przybywali jeszcze inni: nauczyciel szkółki Hieronim wysoki, kościsty, ponury starzec z pochmurną miną, także drwale Jan Klaudyusz Machette, Mikołaj Kochart, i Wawrzyniec Bastien, istne głowy apostołów, poważni, myślący, srodzy; ale żaden z nich nie cieszył się dobrą opiniją, albowiem mieli naganny zwyczaj sprzedawać piwowarom Alzackim młode jodły, a wiązki drwa każdemu kto by kupić zechciał.

Ci ludzie utrzymywali, że lasy, zwierzyna, ryby, są własnością tego kto z nich korzysta. Mówili mało, będąc z natury swej marzycielami, nieraz przez cały kwandrans słychać było tylko ruchliwy kołowrotek matki Katarzyny.

Jednego wieczoru, gdy deszcz lał jak z cebra a wicher świstał w skałach, ojciec Ykel budząc się ze swej zwykłej zadumy odezwał się:

— Takaż sama pogoda, jak wtedy w nocy gdy Sprzymierzeni szli do Wechem ze swemi końmi, furmankami i armatami; oficerowie komenderowali na drodze „tędy, tędy!“ trudno było dojrzeć co przed sobą, choć oko wykol, pochodnie jodłowe gasły jedna po drugiej; byliby wszyscy wyginęli w lesie. A jakiż to był wicher i ulewa.

— O tak, powiedział po chwili jednoręki, przysuwając sobie lampkę dla zapalenia fajki, tylko że wtenczas śnieg padał przez dwa tygodnie, a przy topnieniu rzeki wezbrały.

Po tem spostrzeżeniu zamilkł: zadarłszy głowę w górę puszczał wielkie kłęby dymu aż pod sufit; widząc że się rozmowa urywa spytałem.

— Pamiętacie to ojcze Hurel? A jednak to już wiele czasu upłynęło od r. 1814.

— Czy ja pamiętam Sprzymierzonych, odrzekł mrugając okiem, zdaje się... nie mało mnie kosztowali! Byłem właśnie w Sarrebrücken z wózkiem pełnym kontrabandy kawy, cukru, tytoniu; czekałem przyjaznej sposobności do przebycia ostatniego stanowiska. W tym czasie było bardzo ciężko taki handel prowadzić, cukier sprzedawał się trzy funty za 10 sous, a na inne produkta i ceny nie znano. Reszta naszych pułków nadciągała z Kolonii. Strzegli oni Renu aż do 1 Stycznia, jeden pluton tam drugi owdzie na wyspach w mgle.

Sasi, Bawarczycy, Rossyanie, Prusacy, gromadzili się w Frankfurcie. W tem dowiedzieliśmy się nazajutrz, że Austryjacy przebyli Szwajcaryą i dążą ku Wogezom a tego dnia właśnie oczekiwaliśmy w Sarrebrücken na armatę z Monguncyi.

Sprzymierzeni wszyscy naraz rozpoczęli pochód w naszą stronę; nasi rozłożyli się nad brzegami Sarry.

Trzeba było widzieć to mnóstwo ludzi, pieszo, konno, prawie wszyscy chorzy lub ranni, brnęli po kolana w błocie, błagając, żebrząc, prosząc chleba, wódki, wszystkiego!

A tu Sarra wezbrana, najeżona krą, strzały armatnie co raz to bliżej, a warto je było słyszeć!

Nasi żołnierze cofając się znieśli most i poniszczyli statki, aby nie dopuścić przeprawienia się przez rzekę.

Była to przepyszna myśl!...

W chwili gdy nieprzyjacielskie tirailleur'ki pojawiły się na przeciwnym brzegu, nagle nasz generał zaczął kląć od wszystkich dyabłów: spostrzegł bowiem przez lunetę jeszcze jedną łódkę, pozostawioną w małej zatoce, zapomnianą w gęstwinie wierzb. Nie mieliśmy armaty aby ją zniszczyć...

Gdyby Austryjacy odgadli powód zakłopotania, niezawodnie przebyliby Sarrę w nocy i wpadli jak bomby w sam środek naszego koczowiska!

Co robić aby ją odzyskać?

Porucznik 6 oddziału lekkiej jazdy Bretonville, poświęcił się wraz z trzema staremi wiarusami, rzucili się w pław. *(d. c. n).*

Przegląd literacki.

Z domu i ze świata. Powieści oryginalnie napisane przez A. S. Warszawa. Nakład Maurycego Orgielbranda 1875 r.

Jest to jedna z książek, przeznaczonych dla młodzieży na gwiazdkę. Autorka szczególny kładzie nacisk na oryginalność swoich powiastek, a za drugą ważną ich zaletę uważa krótkość, jak o tem mówi wyraźnie w przedmowie. Zapewne że obie te własności mogą być częstokroć ważnemi zaletami, ale, niestety, niezawsze, niezawsze nawet i w danym razie.

Wszystkich powiastek jest dziesięć. Wartość ich niemal jednakowa, w ogóle mierna. Za najlepszą uważamy ostatnią powiastkę p. t. „W Theresienstat:“ tchnie ona prawdą życiową, a przy całej naturalnej prostocie treści, wolnej od sztucznych efektownych wymysłów, odznacza się szlachetną dążnością i zdolna głębiej poruszyć uśpioną w niejednej duszy młodzieńczej stronę uczuciową. Ma ona i tę jeszcze wyższość nad innemi, że chociaż i tutaj przy końcu nie może się obejść bez hymenu, wszelako konkury nie stanowią tu głównej sprężyny opowieści od samego początku, jak w pozostałych powiastkach, lecz małżeństwo jest tu tylko końcowem, przypadkowem uwieńczeniem innych szlachetnych uczuć i czynów.

Powiastka p. t. „Pan z Sokolnik“ daje kilka wiernych rysów historycznych z wieku XVI; zresztą jest bladą i nudną. Owo spółzawodnictwo starosty ze Słuszką do ręki cześnikówny, rana od niedźwiedzia na łowach i pożądane uwieńczenie hymenem uczuć Basi i Jana — wszystko to już tyle razy powtarzane i zużyte, że nikogo zająć nie może, a nawet i najmniej wybrednemu młodemu czytelnikowi wyda się nudnem. Niemniej ów jasyr tatarski, co to z młodzieńca robi „starca z brodą słaniającego się, jakby nóg nie miał“ (str. 413) wygląda jako sztuczny wysiłek wcale nie oryginalnej wyobraźni w celu udramatyzowania zakończenia. Nawiasem mówiąc, trudno zrozumieć, jaka wina była w tem że starosta, w oczach rywala uprowadził sam działo nieprzyjacielskie; czego tu było „płonąć ze wstydu“ (str 402)

Figura kasztelanica, na chwilę tylko wprowadzona jak niema maryonetka, nie wiedzieć gdzie się podziewa w końcu: autorka nie raczyła go wyzwolić z niewoli tatarskiej.

Powieść p. t. „Zmiana mieszkania“ opowiedziana jest dość zajmująco, nawet nie bez humoru i trafności w charakterystyce takich arystokratycznych postaci, używających polsko-francuzkiego makaronicznego stylu, jak baronowa i ciocia Madzia. Wszelako te zalety, przeważnie tyczące się formy, nie okupują się spaczoną, i niesmaczną, a choć w rzeczywistości możliwą, wszelako niegodną powieści treścią. Podlotek Lodzia romansuje przez okno z pięknym młodzieńcem, mieszkającym w domu naprzeciwko; zdaje się jej że go kocha gorąco pierwszą miłością, ale ta miłość najprzód słabnie, gdy Lodzia dowiaduje się że nieznajomy ideał nazywa się Ciurpikiewicz, a ostatecznie ulatnia się, gdy w liście kochanka znalazła grube ortograficzne pomyłki. Na wiadomość o plebejuszowskiem nazwisku Lodzia „zbladła jak chusta“ (str. 42), a po przeczytaniu nieortograficznego listu „żal, wstyd i złość miotały nią na przemianę, tak że mimowolnie zawołała z rozpaczą: a szkaradny, niegodziwy człowiek“ (str. 51). Uleczywszy się tym sposobem odrazu ze swojej pierwszej, choćby urojonej miłości, Lodzia już w pół roku potem pokochała pana Władysława i powieść jak i inne, kończy się hymenem. Co tu dziwnych sprzeczności. Chwalebną zapewne jest rzeczą posuwać zamiłowanie polskiej ortografii do tego stopnia, ażeby stawić ją wyżej nad rojenia młodego, siedmnastoletniego serca (choć to ubóstwianie ortografii wydaje się nieco dziwnem u panny, karmionej od dzieciństwa makaronizmami,) ale co byłoby, gdyby Ciurpikiewicz był napisał poprawnie swój słodki bilecik? Prawdopodobnie hymen byłby go połączył z Lodzią i dla zbudowania młodych czytelników wypadłby ten sens moralny, że godzi się podlotkowi romansować przez okno i wybierać sobie przyszłego męża tylko na oko, nie mówiąc z nim i nie wiedząc nic o nim. Nie mówi również autorka, czy szczęśliwszy od Ciurpikiewicza pan Władysław był mocny w polskiej ortografii, bo nie chcemy przypuszczać, że autorka chciała w śmiesznem świetle wystawić jedynie „syna biednej wdowy mającej sklepik“ wiadomo że podobni jemu umieją nieraz lepiej pisać od światowych salonowców w rodzaju p. Władysława.

Powyższe trzy opowiadania mają przynajmniej nieco zalet, i jak się mówi, dają się czytać. Nie można tegoż powiedzieć o reszcie. Tak np. powieść p. t. „Ameryka“ jest nudną i rozwlekłą historyą konkurów p. Henryka, który zrazu narzucony Zofii pomimo jej woli, już ma być skutkiem zabiegów siostry i wuja odrzucony, a Zofija *zaczyna kochać* starego hrabiego, gdy w tem zubożenie Henryka nadaje inny zwrot sprawie. Zofija, *przez szlachetność*, nie przyjmuje już sama pierścionka, który jej Henryk *przez szlachetność* zwraca. Pozostaje więc znowu Henryk narzeczonym Zofii, ale nie na długo, bo wkrótce sam znowu odsyła jej pierścionek i ginie bez wieści — udaje się, jak się później wyjaśnia — do uniwersytetu, a wróciwszy ztamtąd i dorobiwszy się pewnego stanowiska, ostatecznie pozyskuje rękę Zofii. Hrabia na zawołanie rozkochany i pokochany, przepada potem bez wieści. Wszystkie te nudne i czcze perypetye przypominające towarzyską grę w sąsiada, opowiadane są z wysiłkiem ubogiej wyobraźni, która chwyciła się nawet tak niesmacznego wymysłu jak spalenie się pieniędzy w czasie pożaru. Zresztą jaką ma być myśl przewodnia całej tej gmatwaniny, której tu przedstawiliśmy tylko główne zarysy? Że młodzieniec bez wykształcenia, choćby z majątkiem, nie powinien się żenić, jak to się często dzieje w klasie tak zwanej obywatelskiej — na to zgoda; kto wie czyby nawet nie było dobrze ustanowić egzamina dla kandydatów do małżeństwa, jak to podobno ma miejsce w Chinach: wszelako z drugiej strony niezawsze można czynić przywiązanie zależnem od wykształcenia. Czytelnik wynosi to przekonanie, że albo Zofija od samego początku miała istotnie przywiązanie do Henryka, skoro pomimo całej owej gry w piłkę czy w sąsiada, dochowała mu wierności i na niego czekała; w takim więc razie Zofija kłamała oświadczając swą niechęć ku Henrykowi; albo też owa bohaterka sama nie wiedziała, co to miłość i należała do większości panien, u których znajdzie się miłość wówczas gdy partya mniej więcej wydaje się stosowną.

Dla czego powieść nosi nagłówek „Ameryka?“ podobno dla tego, że Zofija i jej siostra miały być wysoko wykształcone dzięki staraniom wujaszka, czego zresztą w powieści nie widać, z wyjątkiem chyba wzmianki o rozmowach z hrabią o literaturze i średniowiecznej historyi.

Jeszcze większy niesmak budzi w czytelniku powiastka „Pamiątki z Czorsztyna. Autorka usiłuje tu wystawić „historyka i uczonego“ pana D. jako sceptyka i bałamuta, ale bardzo niezgrabnie, nawet przy pomocy dość trywijalnych konceptów jak np. owa anegdota czyli raczej porównanie do „myszy pod miotłą“ które przeważnie wpływa na rozwiązanie powieści. I tutaj także, podobnie jak w poprzedzającem opowiadaniu, odrzucony i odepchnięty zrazu przez pannę Maryę pan Stanisław w końcu pozyskuje względy ale z tą różnicą, że następuje to wówczas gdy rachuba na pana D. zawiodła. Nie ma co mówić, praktyczna to osóbka owa p. Marya; zresztą na jej usprawiedliwienie to można powiedzieć że pan D. był starszy od Stanisława i łysy ale za to bardzo tkliwie i efektownie umiał opowiadać o tem, co działo się niegdyś na Czorsztyńskim zamku. Jest tu jeszcze powiastka z dziejów rzymskich p. t. „Placydya

rozwlekle i bezbarwnie przedstawiająca znane historyczne fakta.

O pozostałych czterech powiastkach już nawet i tyle co o poprzednich rozszerzać się nie będziemy; tamtych zaś króciutki rozbiór przedsięwzięliśmy dla usprawiedliwienia wyrażonego na początku ogólnego sądu. Pozostawiamy teraz czytelnikom wydanie wyroku, czy powieści pani A. S. są odpowiednie dla młodzieży, czy łączą rozrywkę z pożytkiem. Jeden wiecznie temat — owe konkury i miłośne zawody, temat przeważający u autorki, znudzi i znuży każdego bodaj nawet pensyonarki i wyrostków, najbardziej spragnionych miłości i jej dziejów.

Zresztą nie z tego przedmiotu robimy główny zarzut autorce, nie jesteśmy również zdania, ażeby podobne temata całkiem i bezwzględnie były niestosowne w powieściach dla młodzieży; ale wymagamy jasno przeprowadzonej i zdrowej myśli, naturalności i zręcznego ubarwienia, zaciekawienia i pożytku a pod wszystkimi tymi względami powieści pani A. S. stoją dość nizko, jak to wykazaliśmy powyżej.

Styl i język autorki dość zaniedbane; widoczny tu pośpiech bez wdzięcznej żywości, gadatliwość drobiazgowa, najczęściej bez wytrawności i artystycznego obrazowania. Tu i owdzie napotykamy nawet ważne usterki, błędy i osobliwsze wyrażenia jak np „papier do robienia cygar (sic)“ „upalone cygara“ (str 44), „chwalebna okropność“ (? str 106); „żyć w fałszu“ (str 135), skończywszy mówić o dziejach (świętym dla pana D. przedmiocie), ten przysunął się do młodej Maryi i t. d.“ (str 262, „nie będziemy się wdawali w krytyczny rozbiór tych *zwyczai*,“ (str 386) „ujrzały dwóch leżących ogromnych szarych (?) niedźwiedzi“ (str 395). Czasem znajdujemy dziwne twierdzenia, jak np. o kojarzeniu małżeństw przez mefistofila (str 142), a niekiedy i ustępy niebardzo stosowne nietylko dla młodzieży, ale i w ogóle zbyteczne jak np. dyskusye o osobowości Boga (str 278 i 279).

L. Sz. W.

Przegląd teatralny.

Krytycy,

Komedya w 5 aktach, napisana oryginalnie wierszem przez J. Chęcińskiego.

Autor „Krytyków“ jest dzielnym szermierzem. Występuje on do boju z wybornym rynsztunkiem wojennym, walczy odważnie, śmiało, a nawet zawzięcie broń jego to dowcip, barwność słowa, wiersz, potoczysty i gładki; strategiczną sztukę wytwarza znajomość sceny, szyk bojowy układa rutyna i doświadczenie — na nieszczęście jednak te wszystkie zasoby służą tu tylko do zdobycia nader podrzędnego stanowiska i w gruncie rzeczy nie wielkie wywołują rezultaty. Celem komedyi, szczególniej zaś komedyi wyższej, takiej jaką chciał stworzyć p. Chęciński, jest poprawą obyczajów, wytknięcie wad towarzyskich, ujemnych stron ludzkości, a wreszcie podtrzymanie i rozwinięcie jakiej idei społecznej zespolonej z ogólnym kierunkiem życia narodu, tymczasem w „Krytykach“ tego wszystkiego nie mamy. Autor dawszy za podstawę swojemu utworowi szczupły grunt rozterków pomiędzy wykonawcami sztuki i recenzentami, ograniczył go jeszcze mikroskopowym zakresem zakulisowych zatargów. W tym małym światku, do odtworzenia którego jeden zarys fejletonisty, byłby aż nadto dostatecznym, wojuje bronią sieczną i palną, potęgą słowa i rozwojem akcyi, a wszystkie te kunsztowne usiłowania podejmuje dla zwalczenia kogo? Kilku złośliwych zoilów, którzy już to przez nieznajomość rzeczy, już wreszcie powodowani chęcią rozgłosu, krytykują niemiłosiernie występujących na deski teatralne aktorów. Zaprawdę, pięć długich aktów dla dopięcia tak błahego celu, to trochę zanadto! Francuz powiedziałby niezawodnie: „le jeu ne vaux pas la chanson;“ my zaś powiemy „szkoda tyle pracy dla tak małej płacy.“ W ostatecznym razie, przypuściwszy nawet iż źle, stronnie lub też nieumiejętnie prowadzone recenzye teatralne tamują rozwój dramatycznej sztuki, gdzież autor widział u nas ażeby odcinek gazety pomieszczający sprawozdanie o grze artystów, wpłynął na ich przyszłość, złamał ich talenta, ubezwładnił ich dobre chęci? Gdybyśmy nawet i mieli siłę tyle złego wyrządzić, to i tak słabostka bezmiernego chwalenia wszystkiego co się na naszej zrodziło glebie, stanęłaby ku temu na przeszkodzie. Jeżeli błądzim, to raczej maniją rozdawania zbyt wcześnie laurów występującym po raz pierwszy na deski teatralne aktorom, którzy przez to biorąc zachęty za uwielbienie a życzliwe słowo za pochwałę, nabierają zarozumiałości, pychy — i przywykają w początkach swego zawodu, lekko traktować starszych i zasłużeńszych od siebie kolegów.

P. Chęciński jako pełen zdolności artysta, a w ostatnich czasach niestrudzony reżyser teatrów, wpatrując się z blizka w te drobne niechęci, podstępy, intryżki zakulisowe, przywykł mimowolnie uważać szczupłą perspektywę sceniczną, za obszerny horyzont świata — zobaczywszy iż to co w pewnej sferze, kółku, koteryi uważanem jest za wyniki życia, za podwaliny bytu, nie może być dla ogółu niczem więcej jak tylko drobiazgowym i małoznacznym atomem.

Jak już wyżej powiedziałem, wiersz komedyi jest wszędzie barwny, wdzięczny, potoczysty — a często nawet odznaczający się wyższym polotem ducha. W autorze dramatycznym widzimy jednocześnie zdolnego i utalentowanego poetę. Rozkład scen okazuje niepospolitą wprawę: jest tam ruch, żywość dyalogowania, ostry i nie naciągany dowcip—a scena drugiego aktu przedstawiająca salon literacki pani Sylwiny, skreślona po mistrzowsku. Oprócz tego charakter owej protektorki sztuki, nie pozostawia nic do życzenia: we wszystkich zarysach i odcieniach wystudyowany on został przez autora z całą sumiennością i prawdą. Dodajmy jeszcze niektóre szkice tchnące komizmem w postaci aktora Kaliny, a będziemy mieli wszystkie godne uznania strony komedyi.

Natomiast cała galerya redaktorów jest to zbiór fotografii zdjętych w rożnych pozach, ale z jednej i tejże samej kliszy. Wszystkie te figury, utwory wyobraźni Autora, nie zaś w źródle życiowem zaczerpnięte typy, noszą na sobie cechy wspólnego pochodzenia, a niektóre z nich błądzą nawet niekonsekwentnością w utrzymaniu pierwotnych charakterów, jak np. redaktor „Figielka“ Żądełko, który przez cały ciąg sztuki jest wesołym, sprytnym, żartobliwym i humorystycznym, okazuje się w końcu deklamatorem i co więcej pedantem. Brak prawdy życiowej czuć się jeszcze daje w niedostatecznem określeniu niektórych sytuacyi, w zbytniem szafowaniu komunalnemi morałami, i w niewłaściwej częstokroć poufałości pomiędzy osobami po raz pierwszy spotykającemi się z sobą. Pierwsze wyradza niejasność, drugie nużą słuchacza a ostatnia staje w sprzeczności z przyjętą we wszystkich towarzyskich zebraniach zasadą.

Intrygi tu nie ma prawie żadnej, bo czyliż można nazwać intrygą małe nieporozumienie, zobopólne stosunki literatów, parę scen miłosnych, i rozwiązanie ciągle spodziewane i bezprzestannie odkładane, a kończące się patetyczną tyradą o kapłańskiem znaczeniu niepodległych w swoim sądzie recenzentów.

Treści komedyi tym razem nie podajemy szczegółowo: kto, ją ciekawy poznać niech się uda na przedstawienie sztuki, a zyska na tem niezawodnie, choćby tylko z powodu wysłuchania ślicznego i pełnego poetycznego wdzięku wiersza.

„Krytycy” pana Chęcińskiego, z powodu dodatnich swoich stron, utrzymają się zapewne długo w repertuarze teatru rozmaitości, powodzenie jednak tej sztuki byłoby nierównie większe, gdyby ona mogła być o całe dwa akta skróconą: wrażenie bowiem wywołane żywością akcyi aktu drugiego, słabnie stopniowo a w końcu rozpływa się wśród pięknie skreślonych, lecz cokolwiek za długich i za monotonnych deklamacyi.

Artyści wywiązali się ze swojego zadania w miarę znaczenia powierzonych im ról. Najwybitniej, i możemy śmiało powiedzieć, najlepiej nakreślony charakter literatki p. Sylwiny, dał możność pani Niewiarowskiej do sumiennego wystudyowania wszystkich jego odcieni. P. Niewiarowska dopięła tego celu, a odtworzenie przez nią Sylwiny należy niezaprzeczenie do jednej z lepszych kreacyi tej pracowitej artystki. P. Ostrowski w postaci starego Pleśnickiego i p. Tatarkiewicz jako figlarny Żądełko, zyskali powszechne uznanie. W chaosie pomniejszych, a naszkicowanych zaledwie przez autora rolek, wyróżniliśmy wdzięczne wykonanie panny Romany Popiel, i pełną naturalnego komizmu grę p. Szymanowskiego. O innych artystach tylko tyle powiedzieć można, iż nie psuli ogólnej harmonii; na uniewinnienie jednak pani Ostrowskiej jako też pp. Grzywińskiego, Grubińskiego, Prażmowskiego a szczególniej wytrawnego w swej sztuce Chomińskiego, dodać winniśmy iż pole do rozwinięcia ich zasobów było za szczupłe.

Ludwik Niemojowski.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu Eug. P. do kupna książeczek dołożono kop. 60.

Pani Józefie Do: za przesłanie książki należy się Redakcyi kop. 22 $\frac{1}{2}$.

Panu Samuelowi Kru: za przesłanie książki należy się Redakcyi kop. 26.

Przyjaciela Dzieci Nr 9 wyszedł z druku i zawiera:

Przewóz złota i dyamentów do Rio de Janeiro (z drzeworytem). — Obrazki zimowe (wiersz). — Wyspa Tajemnicza pr. Juljusza Wernes. (dalszy ciąg). — Spacer do Lasu. — Elzbieta Jaraczewska. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Szarady. — Zagadki. — Zadanie Arytmetyczne. — Objaśnienie Szarady. — Objaśnienie zagadki. — Ogłoszenie. — w Dodatku: Herr Johann (z drzworytem). — Co mówi kotek (wiersz). — Dzielny chłopaczek. — Gadatliwość (wiersz) — Przechadzki z Nauczycielem. — Ach to nieszczęście! — Ładny obrazek (z drzeworytem). — Dobra odpowiedź (wiersz).

Prenumerata wynosi kwartalnie:

w Warszawie kop. 75 — z przesyłką pocztową rs. 1.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza.** *Ulica Zabia Nr. 956.*

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami, arkusz z krojami i Cennik wyrobów z wełny sosnowej.

Druk E. Skiwskiego, w Warszawie, Elektoralna Nr 758 (28 nowy). Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca **J. K. Gregorowicz.**

Dodatek.

Opis do N. 8.

(Dokończenie).

Do bardzo modnych zaliczają się chusteczki batystowe z koronkową wstawką i przyszytym fularowym szlakiem zakończonym koroneczką. Szlak ten na rogach nieco zaokrąglonej chusteczki, jest zaplisowany w drobne fałdki, dalej, idzie gładko; kolor fulrru i cyfry powinny być takie jak suknia. Chusteczkę taką przedstawia ryc 24; na rycinie 23 podaliśmy chusteczkę otoczoną kolorową girlandką, której deseń i sposób roboty wskazuje ryc. 25. W numerze 7 Tyg. Mód na ryc. 15 i 16 podane były dwie, bardzo gustowne cyfry.

N. 26—27. Pudełeczko do zapałek.

Pudełeczko do zapałek odrobione z tektury i ładnie wyklejone, ma ścianki pokryte ostrym papierem do pocierania zapałek. Wierzch ozdobiony jest desenikiem odrobionym na tekturze powleczonej perkalem popielatym lub jasno brązowym, naśladującym skórę. Na perkalu malują się pendzelkiem kolorowe kwadraciki, przedzielane kratką z grubego kordonku. Środek zajmuje rozeta w kształcie gwiazdy. Czwartą część deseniu podaje ryc. 27.

N. 28. Poduszka do kanapy. Łatwy haft i aplikacyja na materyjale „rubber".

Materyjał: rubber, brązowe sukno; aksamitka ciemno-zielona $3\frac{1}{2}$ cent. szeroka; takiż plusz na podszycie poduszki, zielony sznur i kwasty; filozela żółta, czarna, pąsowa, biała i niebieska; kordonek jasno i ciemno brązowy.

Brak miejsca nie pozwala nam załączyć deseniu na poduszkę w większym formacie, ale dla zręcznych czytelniczek wystarczy podane objaśnienie. Angielski rubber, znany popielaty, w supełki tkany materyjał, stanowi tło na poduszkę, mającą 40 cent. w kwadrat. Na wierzchu poduszki odznaczony jest zieloną aksamitką, $3\frac{1}{2}$ cent szeroką, kwadrat 25 cent. długi; brzegi aksamitki odziergane ciemno brązowym kordonkiem. Środek kwadratu zajmuje okazały sfinks z brązowego sukna, z konturami i cieniami dodanemi kordonkiem. Deseń potrzebny do wycięcia sfinksu można dobrać między rysunkami, lub wzorami na krzyżową robotę. Po za kwadratem dodane są lekkie i gustowne narożniki, wyszyte ściegiem luźnym i sznureczkowym, filozelą pąsową, czarną, żółtą, zieloną i białą. W miejsce filozeli można użyć włóczki andaluzyjskiej. Po skończeniu poduszka podszywa się pluszem i oszywa sznurem z kwastami.

N. 29—30. Chustka na szyję lub jako kapturek na głowę.

Materyjał: ryps wełniany (na trójkąt 120 cent. długi z brzegu skośnego a 50 wysoki w środku), włóczka gobelinowa koloru rypsu.

Rogi chusteczki są zaokrąglone, brzeg górny wycięty jest szeroko; zapięcia pod szyją dopełniają dwa guziki i szmuklerska pętliczka. Frendzla, którą w naturalnej wielkości przedstawia ryc. 30, składa się najpierw z czterech rzędów siatki odrobionej na drewnianym wałeczku, przy obrębie chusteczki. W piątym rzędzie przerabia się po 2 oczka razem, na tekturce 9 cent. szerokiej, po skończeniu obrobienia, każde z tych długich oczek przecina się w środku i tworzy długie nitki, do wiązania trzech rzędów kulek. Na kulki potrzeba wziąść kilka nitek o ile można długich, z grubej włóczki, złożyć równo i mocno przewiązywać w odstępach, jak to widać na ryc. 30. Następnie włóczkę przecina się środkiem każdego odstępu i zaokrągla w kulki.

N. 31. Frendzla. Robota wiązana w węzły.

W przeszłorocznych N-rach Tygodnika podaliśmy już opisy i ryciny, odnoszące się do tej roboty, dziś znów podajemy nowy wzór pięknej frendzli. Jak to objaśnia ryc. 31 węzły wiążą się z dwóch nitek, przyciągając naprzemian pierwszą lub drugą. Zęby z wiszącemi promieniami nitek wiążą się z 10 nitek i rozdzielone są trzema nitkami, wiązanemi w ścisłe węzły od strony lewej na prawą i zakończonemi dwoma mocno ściśniętemi przewiązaniami.

N. 32—33. Paletot z dwojakiemi rękawami.

Krój odpowiedni znajduje się w N-rze 48 na ryc. 27 i 48, z przeszłego roku.

Strojny paletot przedstawiony z przodu i z tyłu na rycinie 32 i 33, ubrany piórami lub futrem, wyszyty bogatą pasmanteryją z perełek i ozdobiony kokardami z wstążki rypsowej 6 cent. szerokiej, odszyty jest podług powyżej wskazanego kroju, z czarnego materyjału. W miejsce kosztownej pasmanteryi można przyszyć perełkami plisy z jedwabnego rypsu, podkładane sztywnym muślinem. Plisy te na rękawach zwierzchnich (ryc. 33) rozszerzają się stopniowo i w rzędach dolnych liczą po 6 cent. szerokości. Szeroko otwarte z jednego kawałka dopasowane zwierzchnie rękawy, dopełnione są drugiemi wązkiemi, które łatwo można odrzucić z nadejściem pory cieplejszej.

N. 34—36. Kilka przyborów toaletowych.

Na trzech rycinach przedstawiliśmy wzory kilku modnych przyborów toaletowych, odpowiednich do strojnego ubrania. I tak: ryc. 34 podaje ozdobną agrafkę do założenia za pasek, opatrzoną łańcuszkami, na których zawiesza się wachlarz, flakonik i maleńką książeczkę do zapisania zaproszeń do tańca. Ryc. 35 przedstawia szpilkę z oprawionym na niej porcelanowym kwiatem do przybrania głowy. Na ryc. 36 załączamy wzór ładnej osady do bukietu, a która przy balowych toaletach znów wróciła do mody.

N. 37. Wycięty stanik, naszyjnik i ubranie głowy.

Pięknie odrobiona berta i dopełnienie krótkich rękawków wymaga szerokiej koronki. Poniżej prawego ramienia berta przepina się bukiecikiem kwiatów; górny brzeg w około wykroju dopełniony jest plisowaniem z białej illuzji. Naszyjnik odszyty jest z białych pereł na czarnej aksamitce, podłużne perły widoczne na ryc. 37, mogą być zastąpione okrągłemi perłami stopniowej wielkości. Na głowie przypięte są kwiaty, a między puklami przewijane perły.

N. 38. Ubranie wizytowe z potrójną tuniką.

Suknia z kolorowej jasnej materyi, ma przednie bryty gładkie, a z tyłu zagarnirowana jest aż do góry falbankami. Na wycięty stanik jedwabny włożona bluzka pod szyję, z rękawami bufowanemi; przód sukni dopełniony jest tuniką, sięgającą aż do dołu i odrobioną z lekkiego materyjału. Wierzchnia część tuniki jest z tyłu od góry zebrania w fałdy, dwie inne dodają się gładko. Przyszycie tuniki i zakończenie falban przykrywają dwa razy odwijane wykłady, z tej co suknia materyi, oszyte z brzegów koronką. Taż sama koronka otacza wycięte w zęby brzegi tuniki i wszystkich falban; każda część tuniki zakończona jest wązką, plisowaną falbanką z materyi. Bufy u rękawów przepinane są wstążką związaną w kokardy.

N. 39. Ubranie wizytowe z fartuszkowym garnirunkiem.

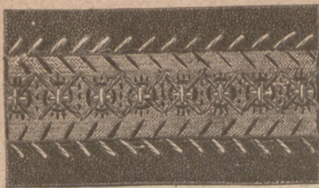
Suknia z trenem z ciężkiej materyi jedwabnej, ma dodany z przodu bogaty fartuszkowy garnirunek, składający się z plis aksamitnych, przepinanych agrafkami z perełek, z buf jedwabnych mocno nadmarszczonych. Brzegi przybrania oszyte są plisowaniem z białego muślinu przykrytem z wierzchu koronką czarną. Większa koronka służy do oszycia stanika i rękawów, na których dodane są wykłady aksamitne. Wielka szarfa przypięta pod baskiną jest także z aksamitu.

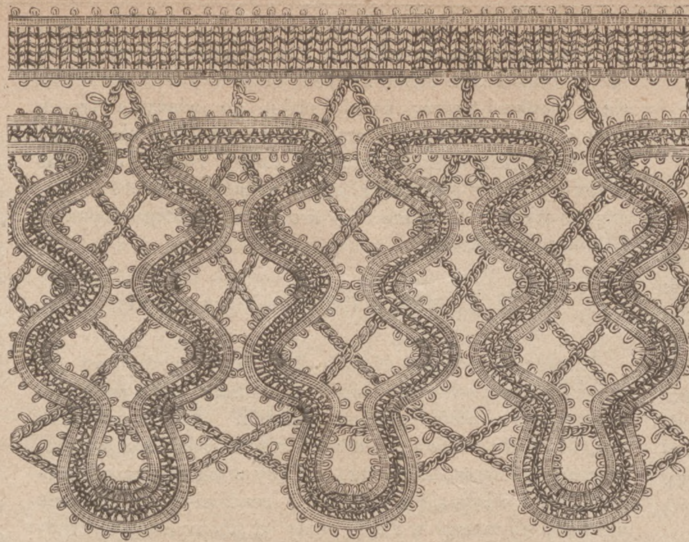
N. 40. Ubranie balowe.

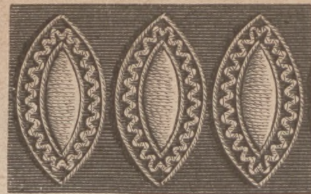
Gustowne to ubranie daje się zarówno odszyć z materyi jak też z gazy, krepy tarlatanu a nawet z muślinu. Przy tunice z przodu podpiętej krótko, z tyłu długiej i bufowanej, dodana jest na sukni z przodu szeroka plisowana falbana. Przybranie tuniki dopełnione jest bukietami z kwiatów. Takież kwiaty przypięte są na staniku i ubierają głowę.



N. 1. Ślubne ubranie z fałdą wachlarzową i trenem. N. 2. Ślubne ubranie suto ubrane z przodu.


N. 3. Szlaczek odpwiedni do ryc. 15.

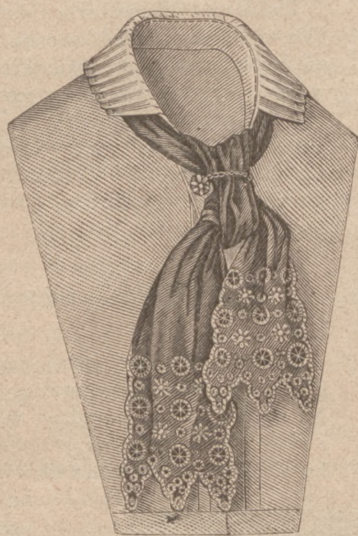

N. 4. Koronka z ażurowej plecionki spajana łańcuszkową kratką.


N. 7. Szlaczek odpowiedni do krawatki ryc. 6.

Opis do N. 9.

N. 1. Suknia ślubna z trenem ułożonym w fałdy.

Do sukien ślubnych z ciężkiej, jedwabnej materyi, najstosowniejsze są tylne bryty z długim trenem, ułożone w sute wachlarzowe kontrafałdy; takie spódnice mogą być bez żadnego garnirunku lub oszyte jedną bardzo sutą, 16—20 cent. szeroką riuszą z jedwabnego tiulu, przepinaną drobnemi bukiecikami kwitnącego mirtu. Stanik pod szyję z tyłu sznurowany, ma długi bawet z przodu i z tyłu, rękawy do łokcia oszyte są riuszą i falbaną z tiulu. Na głowie wianeczek mirtowy, pojedyńcze gałązki mirtu, i szeroki i długi welon.

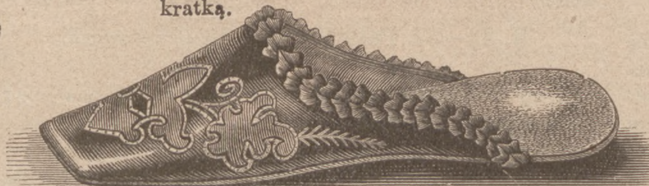

N. 5. Wykładany kołnierzyk z haftowaną krawatką. Krój w dodatku N. III, Fig. 12—14. Deseń szalika na Fig. 31.

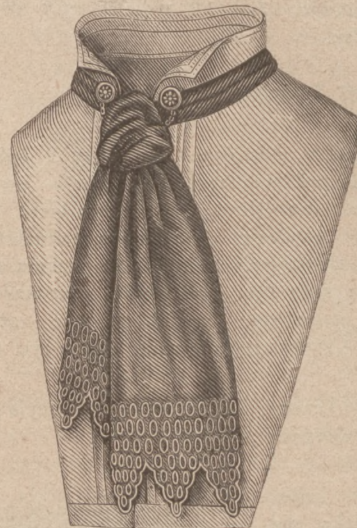
N. 2. Suknia ślubna z przodu suto garnirowana.

Suknia z ciężkiego faille ma przód suto wygarnirowany w fartuszek, bufkami z materyi, szeroką kręconą frendzlą i torsadami szmuklerskiemi. Długie wązkie rękawy ubrane także bufkami, a stanik pod szyję kokardami z rypsowej wstążki; pasek rypsowy zapięty z przodu lub z boku kokardą z długiemi końcami. Welon spuszczony na twarz.

N. 3. Szlaczek wyszywany kolorowym jedwabiem.

Na sukno lub inny kolorowy, wełniany materyjał, podkłada się pasek deseniowego perkalu, lub tasiemeczki drukowanej, przyszyty i ozdobiony długiemi ściegami różnokolorowego kordonku. Taki szlaczek służyć może do przyozdobienia różnych drobnych przedmiotów, lub nawet sukienek dziecinnych.


N. 8. Pantofel damski. Krój i deseń w dodatku N. VI, Fig. 21.


N. 6. Stojący kołnierzyk z haftowaną krawatką.

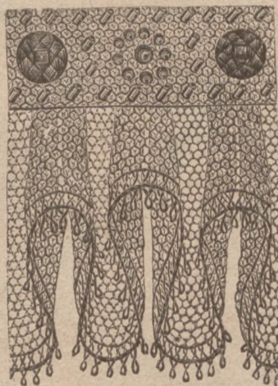
N. 4. Koronka z tasiemki i kratek koronkowych. Robotę kratek podamy w N. 10 Tygodnika.

Powyższa rycina przedstawia w połowie naturalnej wielkości próbkę koronki, z nowego rodzaju tasiemki ażurowej trzymającej 2 i $1\frac{1}{4}$ cent. szerokości. Szersza z nich użyta jest na prosty pasek u góry, a węższa na deseń, połączony gipiurą roboty szydełkowej. Gipiurę odrabia się ściegiem łańcuszkowym, a pikoty wyciąga na szpilce i przewiązuje węzłem zadziergniętym. Dokładna próbka roboty podana w N. 10 Tygodnika na ryc. 22. Tasiemki są w kolorze białym lub niewarowym, a szerokość koronki łatwo może być powiększona lub zmniejszona.

N. 5—7. Dwa kołnierzyki z chusteczkami i haftowanemi szalikami. Krój N. III, Fig. 12—15, deseń Fig. 30—31 na arkuszu z krojami.


N. 9. Ekram do zastawienia świecy. Deseń w dodatku Fig. 26.


N. 10. Uczesanie głowy i naszyjnik z pereł.


N. 12. Riusza tiulowa wyszyta perełkami, do ryc. 11.


N. 11. Kreza tiulowa z perełkami. Patrz ryc. 10.

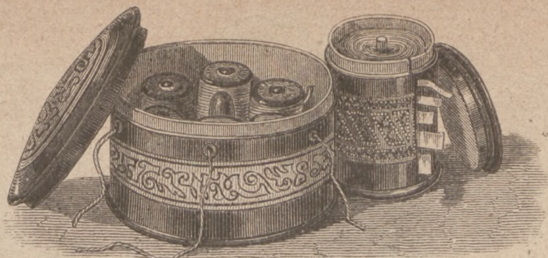

N. 13. Szlak haftowany łańcuszkiem.

N. 5. Kołnierzyk wykładany, chusteczka z wykrojem podłużnym.

Podłużny wykrój chusteczki wszyty jest w szeroki pasek przykrojony podług Fig. 14, z webowego płótna podszytego perkalem; plisowany kołnierzyk układa się z prostego kawałka płótna, mającego $5\frac{1}{2}$ cent. szerokości a 80 długości, zwężonego stopniowo w koń-



N. 14. Czapeczka męzka z haftem. Krój w dodatku N. V, Fig. 18—20.



N. 15. Pudełko do nici i tasiemek.



N. 16. Garnirunek do czepeczka.



N. 17. Turniura puchowa. Krój w dodatku N. IV, Fig. 16—17.

N. 18. Szlak z koronki irlandzkiej na tiulu do zakończenia batystowej chusteczki.

cach do 4 1/2 cent. u dołu zakończonego obrąbkiem stębnowanym 1 cent. szer. w górze ułożonym w fałdki równe wstębnowane pomiędzy wierzch i podszewkę paska, w którego końcach dane są dwie dziurki do guzików połączonych łańcuszkiem. Guziki takie są nowością bardzo poszukiwaną i służą zarazem do zapięcia kołnierzyka i przytrzymania węzła krawata. Dwa odmienne sposoby przekładania łańcuszka wskazuje ryc. 5—6.

Szalikowe krawaty z jedwabnego rypsu lub innej miękkiej materyi, mające 13 cent. szer. a 110 długosci, haftuje się na końcach w maszynie lub ręcznie, białym kordonkiem, zakłada w środku w podłużne fałdy, do 2 1/2 cent. szerokości, podkłada pod kołnierzyk i przewiązuje z przodu na węzeł.

N. 6. Kołnierzyk stojący, dwa razy przestębnowany ma rogi wywinięte ale nie załamane; chusteczka z okrągłym wykrojem, zaszyta jest z przodu w zakładki, oznaczone na Fig. 12 linijkami. Chusteczkę kraje się z półbatystu lub perkalu, a kołnierzyk z cienkiego płótna, na podwójnej podszewce. W brzegach kołnierzyka daje się dziurki do guzików połączo-



N. 20. Ranna suknia przybrana plisowaniem. Plecy do ryc. 21.



N. 19. Kieszonka do zawieszenia przy pasku. Krój i deseń w dodatku N. VII, Fig. 22.



N. 21. Ranna suknia oszyta bufką. Przód do ryc. 20.



N. 22. Kapelusz z czarnego bastu.



N. 24. Kaftaniczek bez rękawów oszyty piórami.



N. 23. Kapelusz z czarnego aksamitu. Przód patrz ryc. 24.

nych łańcuszkiem. Deseń haftu na końce do krawatki podajemy na ryc. 7 lub na Figurze 30.

N. 8. Pantofel damski, Haft na skórze z podłożeniem materyi. Krój i deseń na arkuszu z formami, N. VI, Fig. 21.

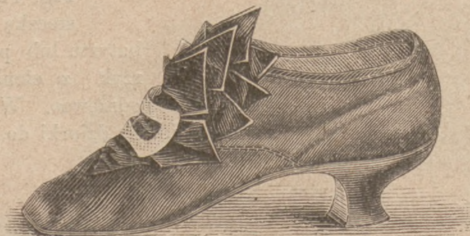
Materyjał: Czarna miękka skórka nieglansowna, atłas lub materyja kolorowa na podłożenie, wstążeczka tego co materyja koloru, sznureczek złoty, jedwab kordonkowy czarny.

Kontury deseniu odznaczają się na nieglansowanej skórze złotym sznureczkiem, przeszywanym przez wierzch czarnym jedwabiem, następnie wycina się starannie skórkę ze środka deseniu, a pod spód podkleja gumą kolorową materyję lub atłas, który ładnie w wycięciach od skóry odbija. Następnie daje się pod pantofel podszewkę z flanelki lub materyi, zarówno jak i do podeszwy filcowej, w koło wstążeczką objętej, wykrój pantofla garniruje się rzuszą ze wstążeczki i przyszywa krytym ściegiem do podeszwy.

N. 9. Ekram do świecy. Aplikacyja kretonu i haft kolorami. Narożnik haftu Fig. 26.

Na kawałku czarnego atłasu, trzymającym 25 cent. w kwadrat dana jest w środku aplikacyja z kretonu, na którego tle wodno-zielonem ptak i gałązki są orzechowe do cieniu. Aplikacyję przyrabia się ściegiem sznureczkowym, a arabeski wyszywa ściegiem łańcuszkowym, sznureczkowym i supełkowym kordonkami drzewnego koloru.

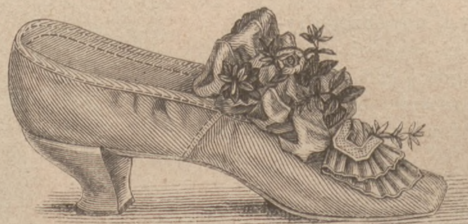
(d. c. n).



N. 26. Trzewiczek do domowego ubrania.



N. 25. Kosz z kwiatów.



N. 27. Trzewiczek do ślubnego ubrania.



N. 28. Spacerowy bucik z kokardą.



N. 30. Szlak wyszyty ściegiem sznureczkowym na pluszu.



N. 29. Spacerowy bucik ze sztylpą.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1875 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 9 i 10

N. I. Vêtement z dwoma rzędami guzików, ryc. 3—4 w N. 10.

Miara połowy górnej szerokości stanika 52, w pasie 31 centymetrów.

Materyjału 124 cent. szer. wychodzi 4 centymetry.

- Fig. 1. Przodek (A, C, D, E, Z)
- Fig. 2. Boczek (A, B, . 1 X 1—. 5 X 5 jedno załamanie formy)
- Fig. 3. Połowa pleców (B, C, D, I, jedno zał. formy)
- Fig. 4. Rękaw (E, F, G, H, :, *)
- Fig. 5. Garnirunek do rękawa (H, :, *, . 6 X 6—. 8 X 8)
- Fig. 6. Połowa paska do rękawa (F, H)
- Fig. 7. Połowa wykładanego kołnierza (I, K)
- Fig. 1-a—4-a. Zmniejszony rysunek formy vêtement.

N. II. Stanik pod szyję z bawetem, zapinany z tyłu; ryc. 29—30 w Numerze 10.

- Fig. 8. Połowa przodu (L, M, P, Q, *)
- Fig. 9. Boczek (L, M, N, O)
- Fig. 10. Plecy (N, O, P, Q)
- Fig. 11. Połowa kołnierza (*)

N. III. Dwa kołnierzyki ze szmizetkami, ryc. 5—6 w N. 9.

- Fig. 12. Przód szmizetki z wykrojem okrągłym i podłużnym (R, S, U, V, :)
- Fig. 13. Połowa pleców (R, S, T)
- Fig. 14. Połowa paska do kołnierzyka plisowanego (T, U, V)
- Fig. 15. Połowa stojącego kołnierzyka z ranwersem (T, :)

N. IV. Turniura puchowa, ryc. 17 w N. 9.

- Fig. 16. Połowa spodniej części turniury (W, X)
- Fig. 17. Połowa zwierzchniej części (W, X)

N. V. Czapeczka domowa albo podróżna dla panów, ryc. 14 w N. 9.

- Fig. 18. Połowa obłożenia (Y, Z)
- Fig. 19. Połowa denka (Y, Z)
- Fig. 20. Deseń haftu.

N. VI. Pantofel damski, ryc. 8. w N. 9.

- Fig. 21. Połowa pantofla i deseń haftu.

N. VII Kieszonka do paska albo torebka do robót ryc. 19 w N. 9.

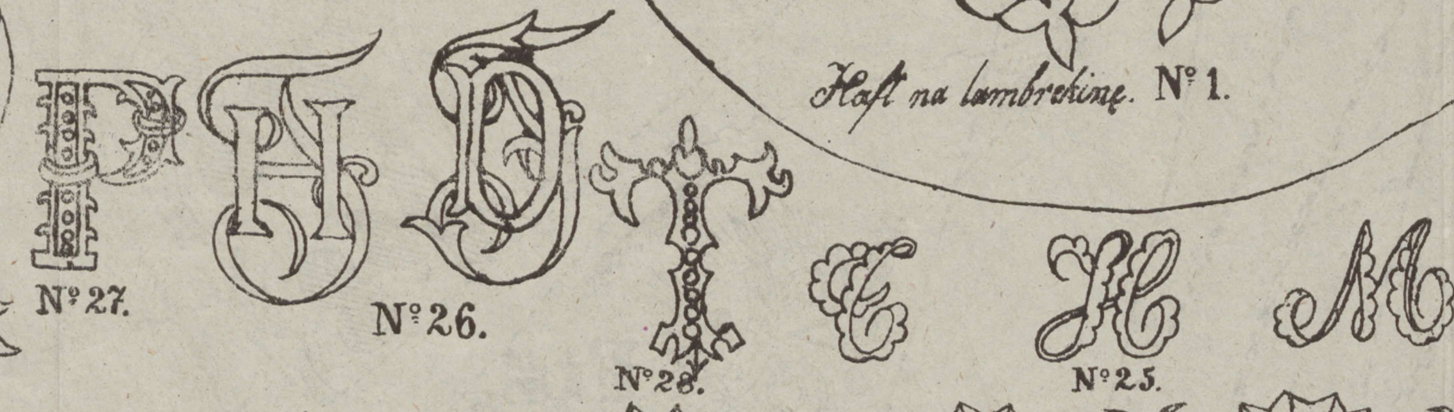
- Fig. 22. Połowa kieszonki i deseń haftu.

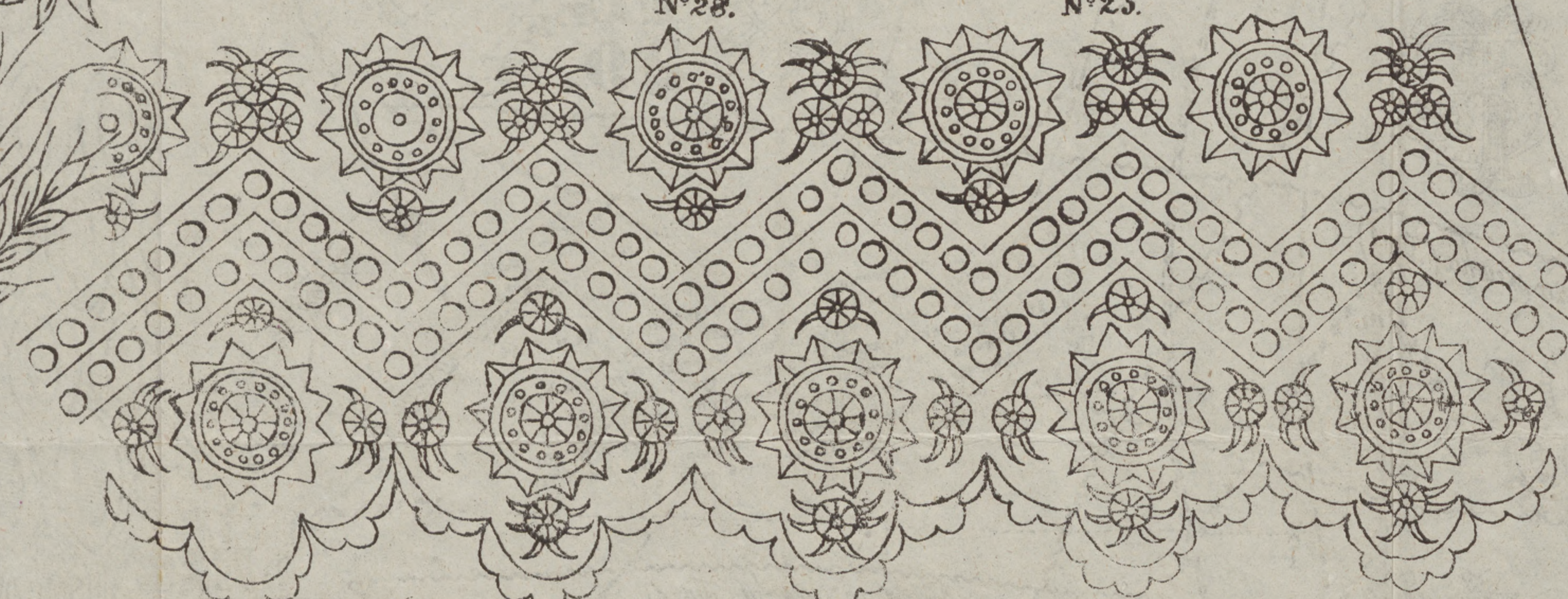
Różne desenie.

- Fig. 23. Ósma część deseniu gipiurowego do taboretu ryc. 14 w N. 10.
- Fig. 24. Połowa górnego deseniu do deseczki do kluczy.
- Fig. 25. Połowa dolnego deseniu do tejże deseczki. Ryc. 5 w N. 10.
- Fig. 26. Część szlaku do zasłonki do świecy, ryc. 9 w N. 9.
- Fig. 27. Czwarta część kwadratu koronkowego do ryc. 21 w N. 10.
- Fig. 28. Czwarta część kwadratu haftowanego do ryc. 21 w N. 10.
- Fig. 29. Deseń do wyszycia na przykryciu do lampy, ryc. 6 w N. 10.
- Fig. 30—31. Desenie na krawatki, ryc. 5—6, w N. 9.

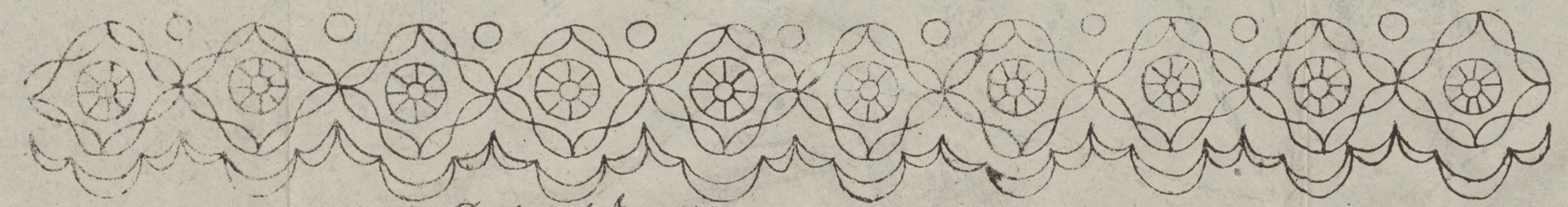


Haft na lambrekinę. N°1.





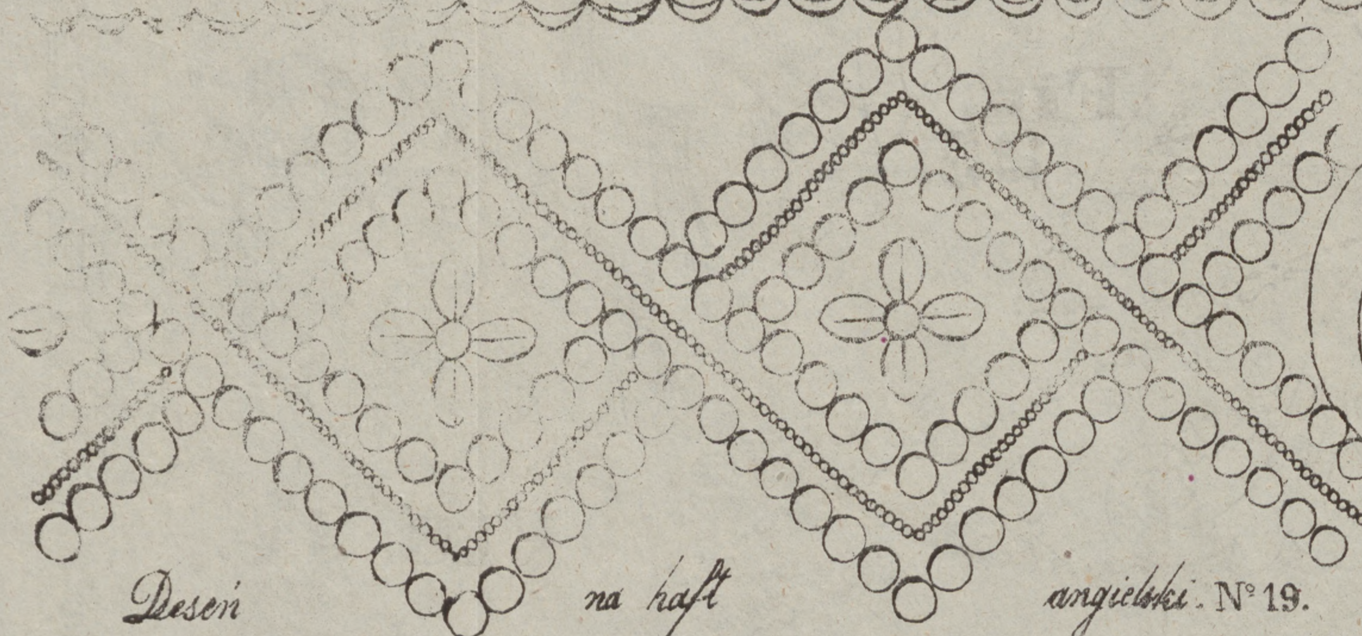
Deseń na haft angielski. N°2.



Deseń na haft angielski. N°15.



Wstawka haft angielski. N°13.



Deseń na haft angielski. N°19.



N°14.



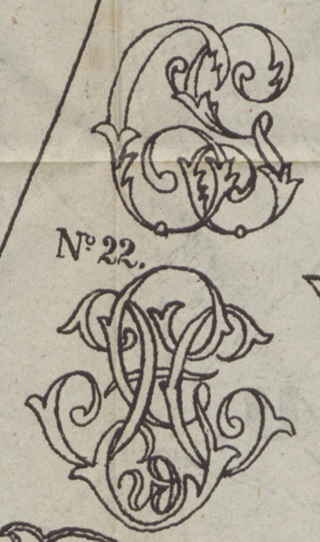
Deseń na pantofle. Haft płaski kolorowemi jedwabiami na suknieL. N°12.



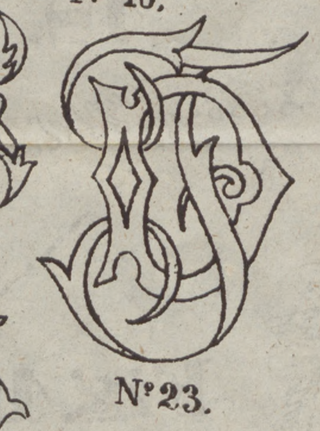
















Ścieg haftowany jedwabiami na zakończenie serwetek i t. p. N°5.



Deseń na lambrekinę. Haft lnny. N°16.

Deseń do haftu na zyzarnie. N°9.



N°17.